

Eduard von Keyserling

Dumala

Pastor z Dumala, Erwin Werner, stał koło swego fortepianu i śpiewał: Wstawiała mgła z wezbranych wód, mewy pola_ty_waa_ły - Prostował swą potężną postać. Piękny jego baryton napełniał go samego mocą i doznaniem błogości. Miło było odczuwać, jak pierś się rozszerza, jak wzbierają w niej tony. Z twoich serdecznych oczu - łyż po licach twych spły_waa_ły. Rozciągał dźwięki, pozwalał im się wybrzmieć i miękko zacichnąć. Żona siedziała przy fortepianie, prześliczna, o twarzy różanej i okrągłej pod kędzierzawym popielatoblond włosom, jaskrawo oświetlona dwiema świecami, przybliżając krótkowzroczne niebieskie oczy o jasnych rzęsach tuż_tuż do stronicy nut. Drobne czerwone ręce z przejściem potykały się na klawiszach. Mimo to, ilekroć dłuższy tryl zostawiał jej bodaj moment czasu, podnosiła z podziwem na męża rozanielone wejrzenie. Jak było przepięknie, kiedy mężczyzna, porwany muzyką, kołysał się, rósł, stawał się wyższy, olbrzymiał, gdy płynęła odeń wszystka słodycz i siła, wszystka namiętność. Napełniało ją to rozkosznym upojeniem. łyż ścisnęły jej krtań, wokół serca czuła osobliwy ucisk. Od owej chwili goreje ciało, cierpię tęsknoty katu_usze Głos napełniał całą plebanię żarem namiętnego wołania. Stara Tija zatrzymała się wśród nakrywania stołu w jadalni, założyła ręce na brzuchu, zamknęła swe jedno ślepe oko, a drugim zapatrzyła się nieruchomo przed siebie. Jej pozbawiona wyrazu, pożółkła twarz ułożyła się przy tym w pobożne fałdy. Cały dom, aż po kąt, gdzie spała przy kominku kotka, odbzmiewał gwałtowną i słodko topniejącą miłosną pieśnią. TONY leciały oknem het na równinę, kędy noc ścieliła się po listopadowym śniegu; nawet, z pobliskiego obejścia, odpowiadał im przeciągłym, sentymentalnym wyciem jakiś pies. łyż tej nieszczęsnej zatręły

zatruty - zatruty Okna dygotały od tego wołania rozpaczy. Kotka obudziła się w swoim kącie, stara Tija przesunęła sobie dłoń po twarzy i wymamrotała: - Ach, Bożyczku! Zatruty mo_ją du_u_szę. Drobną kobietą odchyliła się na poręcz krzesła, złożyła dłonie na podołku i popatrzyła na męża. Pastor Werner stał w milczeniu, głaszcząc się po dużej, jasnej brodzie. Musiał i sam najpierw oprzytomnieć. Teraz panowała na plebanii zupełna cisza. Tylko Tija zaczęła znowu niegłośno pobrzękiwać talerzami. - Jak Zygfryd! - zabrzmiało cichutko z ust małej kobietki. - Kto? - ocknął się pastor Werner. - Ty - rzekła jego żona. Werner zaśmiał się drwiąco i odwróciwszy się jął chodzić z rękami na plecach tam i z powrotem po pokoju. Tak bywało za każdym razem, ilekroć zapamiętywał się w śpiewie, ilekroć upoiło go uczucie. Potem nadchodziła reakcja. Człowiek sądził, że przeżywa coś wielkiego, jakiś ból, jakąś namiętność, a tymczasem była to tylko pieśń, coś, co przeżył kto inny; a ściany tego pokoju, ze swoimi fotografiami, duże meble w czarny i czerwony wzór, wszystko to dusiło go i przytłaczało. Żona siedziała wciąż jeszcze przy fortepianie, zapatrzona w światło. Ale i jej minęło piękne oszołomienie muzyką. Pozostał tylko ociężały smutek. Zastanawiała się, czemu mąż się rozzłościł, gdy powiedziała "Zygfryd". Nieraz się to zdarzało. Kiedy przepętniał ją zachwyty dla niego, coś mu się nie podobało, i wybuchał oziębłym, drwiącym śmiechem. - Leno, nie będziemy jedli? - spytał Werner. Poderwała się. - Oczywiście! Faszzerowane paszteciki! I wybiegła do kuchni. Przy stole, pod wiszącą lampą, zniknęło wszystko obce i przykre. Kiedy smakowało, pastor Werner był dobroduszny: o tym Lena wiedziała. Mogła wówczas pogwarzyć nie upominana, i miała uczucie, że mąż należy do niej. - Baronowa z Dumala przejeżdżała dziś tędy - oznajmiła. - Tak? - zauważył Werner i sponad kieliszka wódki, który miał właśnie podnieść do ust, popatrzył przenikliwie na żonę: - No i co? - No i miała na sobie nowy futrzany żakiet. Przepiękny! Werner wypił swoją wódkę, po czym zapytał: - Do twarzy jej było w tym żakiecie? Lena

westchnęła: - Naturalnie! Ta kobieta jest przecież taka piękna! - No, to czegoż tu wdychać? - zapytał. - Niech sobie będzie piękna! - Bo ja jej nie lubię! - podjęła Lena. - Dlatego! Chciałaby, żeby wszyscy mężczyźni byli w niej zakochani. Ale piękna jest bardzo. Werner śmiał się: - Jacy mężczyźni? Biedna kobieta pielęgnuje sparaliżowanego męża dniem i nocą. Nie widuje nikogo. Nowy futrzany żakiet to już doprawdy bardzo niewinna rozrywka. - Widuje przecież ciebie! - Lena przybrała ton wyzywający, jakby szukała sprzeczki. Werner wzruszył tylko ramionami. - Mnie! - Tak, ciebie - ciągnęła. - I ty jesteś przecież także w niej zakochany... troszeczkę, nie? Dziś nie zirytowało to Wenera. - Skoro tak uważasz! - odparł. Mała kobietka mogła dziś spokojnie igrać z nim, jak z wielkim, dobrodusznym nowofundlandczykiem. Był wprawdzie cokolwiek milkliwy, ale zwykle był taki w sobotę, kiedy obracał w głowie jutrzejsze kazanie. Po jedzeniu małżeństwo zasiadło przy kominku. Skroś okna, którego okiennice pozostały otwarte, zazierała do pokoju blada noc śnieżna. Z czeladnej dolatywał cienki, drżący głos Tiji, śpiewającej godzinki. - Tak jest świetnie! - mówiła Lena. - Jest tak przytulnie, prawda? Wszędzie cicho, i ten ogień, i siedzimy razem. - Nie wystawiajże cenzury sytuacjom życiowym - rzekł Werner, który w zamyśleniu wpatrywał się w płomienie. - Dlaczego? - spytała Lena przekornie. - Bo, bo - głos Wenera stał się surowy - bo cenzury wystawia się po skończeniu szkoły. - Dlatego? - zauważyła Lena, która nie zrozumiała jego słów. - No, ale nie bądź srogi, Wernerchen! Wstała, podeszła do niego, usiadła mu na kolanach i przytuliła mu się do piersi; oplotła całego tego dużego mężczyznę swą małą, legalną zmysłowością, która ujawniała się nieśmiało. - Jesteśmy przecież szczęśliwi! - rzekła. - Przecież właśnie mówię. Wystawiam dobre stopnie. Werner siedział w milczeniu, pozwalając, by przenikało go ciepło tego młodego kobiecego ciała. Następnie nagle odsunął od siebie Lenę i wstał. - Dokąd? - spytała przestraszona. - Ach, nigdzie - odparł. - Chcę sobie tylko jeszcze coś

przemyśleć! - To wieczne kazanie! - westchnęła Lena. - O czym będziesz mówić jutro? - O kuszeniu na pustyni, przecież wiesz. - Ach, tak! Nie bądźże znowu taki surowy. Kiedy tak grzmisz z wysoka, każdego aż strach ogarnia. Wzruszył ramionami. - Odkąd to chcesz mieć wpływ na moje kazania? Więc znów go zirytowała. Zamilkła. Podczas gdy Werner, z rękami na plecach, chodził tam i z powrotem po pokoju, trwała skulona na swoim fotelu i nieprzerwanie wodziła za nim spojrzeniem. Tylko co właśnie czuła się szczęśliwa, a oto znów coś go naszło, czego nie mogła pojąć. We wszystkich członkach tkwiło znużenie po całodziennych trudach; ogarnął ją smutek, którego nie chciała roztrząsać. Goniła Wenera wzrokiem, kiedy tak kroczył tam i z powrotem, bardzo wyprostowany w swym czarnym tużurku - wciąż tam i z powrotem, aż jego postać się zamazała i powieki jej opadły. Lena powiedziała była: "Grzmisz z wysoka" - tak. Lubił to. Kazanie było niby śpiew, mógł się w nim wyładować, czuł, jak powiada Biblia, że "idzie od niego siła". Wszystkie te wielkie piękne słowa, ów gniew ogromny, z jakim mógł grozić, olbrzymie błogości, które mógł obiecywać - wszystko, co bezkresne i wieczyste - przyprawiało także o upojenie. Zawczasu cieszył się na nie. Krom tego pociągało go szczególnie owo kuszenie na pustyni, cudowna rozmowa Duchów, wielka niczym strofy Dantego. Podniecała go gwałtowność zmagania obu cudownych Mocy na pustyni. W głębokim zamyśleniu chodził tam i z powrotem, niepomyślnie otaczającego świata, aż zaspany dźwięk z rozchylonych warg Leny sprawił, że podniósł oczy. No, tak: spokój na plebanii, pomyślał nie bez gorzkości. Bóg widzi, że sam nie czuł się zbyt spokojnie! Zatrzymał się przy oknie i patrzył w noc. W górze na niebie, wśród chmur, panowało poruszenie: mijały się, sunąc poszarpane, wydęte jak żagle. Księżyc musiał się tam gdzieś skrywać, ale był zasłonięty, nad równią jaśniała jeno nikła, blada poświata. Spokój! Ba, jeżeli ktoś musi ustawicznie obcować z rzeczami cudownymi, mieć stale na ustach owe zwroty, tak pełne żaru i gniewu, i słodczy, i tajemniczy - skąd by miał czerpać spokój?

Serce nabiera takiej nadwrażliwości, takie się staje drażliwe, że zatracą obronność. Wiatr gnał po równinie drobne wiry śniegu, niczym białe chmurki dymu. Malutkie punkciki światła, powsypywane w noc, gubiły się w białej, wybladłej poświacie. Tam - ten rząd jasnych punktów - to są okna w zamku Dumala. Werner przypomniał sobie o nowym futrzanym zakiecie baronowej Werland, i ujrzał przed sobą wielki, mroczny pokój, zielono przestoniętą lampę, przy kominku w fotelu pana o woskowożółtej twarzy, o ostrych rysach, jego nogi otulone czerwonym pledem. Przy nim, na niskim stołeczku, piękna kobieta, której wąskie oczy połyskiwały niespokojnie, a czerwone usta były osobliwie gorączkowo spieczone. Siedziała, i spozierając sennie w ogień na kominku, wodziła powoli dłonią po nodze chorego - w górę i w dół. Tu jakiś ból, jak gdyby cielesny, wstrząsnął Wernerem przy tym obrazie i sprawił, że przybladł i lekko się skrzywił. Gniewnie odwrócił się od okna. To bez sensu! Układanie kazania przyprawiało go za każdym razem o gwałtowniejszą rozterkę wewnętrzną! Zaczął znów chodzić, po czym zatrzymał się przed Leną. Wciągnęła stopy na fotel, oparła policzek o poręcz i tak spała. Wargi na poły rozchylone, oddychała głęboko, a na twarzy poważny, stroskany wyraz, jaki przybierają ludzie mocno śpiący, jak gdyby spanie było pracą. Werner obserwował ją przez chwilę. Zdjęła go nagle głęboka litość nad tym młodym, sennym stworzeniem. I znów nerwy i niepotrzebna miękkość! Nie potrafił już na nic patrzeć bez bólu! Ostrożnie wziął Lenę na ręce i zaniósł do sypialni. Zakrystia pełna była śnieżnego światła. Wśród ciasnych, białych ścian i w białym świetle, pastor Werner wyglądał w czarnej sutannie bardzo duży. Siedział przy stole, mając przed sobą otwarty śpiewnik oraz arkusz notatek do swego kazania. W kościele zaczęto już pieśń, chór twardych głosów kobiecych, chrypliwych dziecięcych i huczenie basów. Ciągnęli tony sennie i w ukojeniu. Boże! Cóż ten organista dzisiaj wygrywa! Na pewno, drab, znów chłał dziś całą noc! Stare organy jęczały i wzdychały mocno pod jego bezwzględnymi palcami! Werner nie

śpiewał z nimi. Patrzył przez okno. Tajało i słońce świeciło. Drzewa stały całe obwieszane błyszczącymi kroplami, z dachu i rynien kapało nieustannie, strojąc kościół wokoło jaskrawymi błyskami i dzwonieniem. Odświętność, nastrój niedzielny, tworzący się zawsze, starym obyczajem: zrazu uroczysty, a potem przyjemnie senny. Kochał tę chwilę w zakrystii, przed kazaniem, kiedy siedział czując się pełen wielkich słów, pełen głośnych, dobitnych tonów. Nasłuchiwał. Znał dzwonki sań, sunących pod górę. O, to dzwonki z Debschen - doktor Braun; a to - dzwonki z Dumala. Mimo to spytał, gdy wszedł zakrystian: - Kto już jest? Kościelny, Peterson, zmarszczył cnotliwie_pastorsko swoją wielką i chytrą chłopską gębę. - Są z Dumala - oznajmił. - Baronowa i sekretarz. - Kto jeszcze? - spytał niecierpliwie Werner. Czemu ten drab zameldował akurat tych z Dumala? Peterson z oddaniem podniósł brwi: - Jeszcze doktor, ludzie z Debschen. - Dobrze, dobrze! - Werner odprawił go: było przecież zupełnie obojętne, czy jest doktor i stara z Debschen. Pora wejść na kazalnicę: śpiewają tam już ostatnią zwrotkę. Werner ucieszył się widząc kościół pełen światła. Kiedy szerokie żółte pasma jasności zalewały nawę skroś wysokich okien, jego kazanie nabierało także innych kolorów - jaśniejszych, niż gdy kościół napełniał szary półmrok i deszcz bębnił po szybach. Czuć było mokre, ciężkie okrycia wełniane, świeżo uprane perkalowe chusty i smarowane tranem buty. Werner pochylił się nad pulpitem kazalnicy, do modlitwy. Ten moment niósł mu zawsze łagodną, wzniosłą ekstazę: tak przykładać czoło do pulpitu, a na dole wszystko cichnie - i czekają na jego słowa. Rozpoczęło się kazanie. Własna wymowa szczególnie go dziś rozgrzewała. Słyszał, jak ludzie na dole zaczynają się skupiać, jak milkną kaszel i odczrząkiwanie. Nadał swemu głosowi pełniejsze brzmienie, czynił zamaszyste, swobodne gesty. Wiedział wprawdzie, że większość tam na dole nie rozumie, ale dziś wewnętrzne wzburzenie pobudzało go, by wypowiedział, wykrzyczał, czym jest przejęty. - "Uklęknij przede mną i módl się do mnie!" - przemówił Zły do Syna

Bożego. "Módl się do mnie!" Tak, o to idzie, tego on chce! Nie dość mu naszych grzechów, naszych słabości, niedbalstwa, złości, niewiary, nie; mamy przed nim klękać, czcić go! Chce być czczony, wielbiony, chce być kochany! Za tym tęskni. Pragnie, abyśmy mówili do niego: dla ciebie oddamy Zbawienie wieczne, wyrzekniemy się Ojcostwa Bożego, tobie je ofiarujemy, dla ciebie pójdziemy z otwartymi oczyma na zatracenie, bo wielbimy ciebie, bo ty zdajesz się nam wielki i wart miłości, bo chcemy iść do ciebie. Zły chce, abyśmy pokochali grzech i byśmy grzech wielbili. To jego triumf. Oto głęboka, straszliwa tajemnica grzechu. - Głos pastora przybrał teraz głęboki, tajemniczy i żarliwy ton; brzącający niby niesamowite oświadczenia miłosne grzechowi. Tu przerwał, sam zdumiony tym, co mówi. Rozbrzmiewało to obco w kościele, a zarazem wydało się pastrowi, że zdradza coś, że wypowiada coś, co winno było zostać tajemne, i tylko on jeden to przeczuwał. Popatrzył w dół, na gminę. Spokojnie siedzieli wszyscy razem. Stare kobiety spały. Dziewczęta o gładko wyszczotkowanych włosach, złożąwszy ręce na podołku, gapiły się bez wyrazu przed siebie, zażywając spokoju tej chwili. Naprzeciw niego, w ławce Werlandów z Dumala, siedziała baronowa Karola. Z głową z lekka w tył odchyłoną patrzyła nań bacznie w górę, mrużąc przy tym powieki tak, że oczy połśniewały tylko spomiędzy długich rzęs na kształt dwu roziskrzonych kresek. Werner przeszedł do zakończenia kazania. Głos jego przybrał ponownie swe spokojne, upominające brzmienie, w którym brzmiał budująco jego piękny metaliczny baryton. Po nabożeństwie, przebierając się w zakrystii, Werner zapytał kościelnego: - Czy baronowa z Dumala już odjechała? - Nie - odparł zakrystian. - Pani baronowa czeka na pana pastora, jak zawsze. - Jak to "jak zawsze"? - rzucił niecierpliwie Werner. - Peterson, zaczynacie gadać głupstwa. Ludzie przyszli do niego, że matka chałupnicy Marii, stara Gehda, nie może umrzeć; to już trwa od tygodni. Niech pan pastor tam przyjdzie. Werner odprawił ludzi pospiesznie i machinalnie, rzekł

nieodzowne "Bóg wie najlepiej, kiedy ma powołać nas do siebie." Leśniczyna skarżyła się, że mąż tłucze ją haniebnie, ilekroć jest uchłany. Werner nakładał futro. - Tak, tak, przyjdę tam. Z Bogiem, kochani ludzie! Bogu was polecam. - Pospiesznie wyszedł. Baronowa Karola stała przed swoimi saniami, bardzo smukła, otulona szczelnie w niebieskie futerko, twarz miała różaną od ostrego zimowego powietrza, usta nienaturalnie czerwone, loczki na czole - spod małej czapeczki z wydry - usiane kroplami. - Ach, pastorze! - zawołała - czekam na pana. Niech nas pan dzisiaj nie opuszcza, tak, bo on cierpi i wieczorem jest u nas tak smutno! Więc, przyjdzie pan? Podała mu rękę i potrząsnęła nią ostentacyjnie po koleżeńsku. - Zresztą pocieszenie porzuconych to również pana zawód. Uśmiechała się, przy czym kąciki jej ust wyginały się w górę, co nadawało jej twarzy z lekka przebiegły wyraz. Werner skłonił się w swój uroczysty sposób, mający w sobie jakieś zakłopotanie. - Och, na pewno, z przyjemnością - i także się uśmiechnął z czystego zadowolenia, że patrzy na tę piękną kobietę. - Więc dziękuję - rzekła. - A teraz jedźmy, mój paż marznie! Karl Pichwit, sekretarz i lektor barona Werlanda, marzył stale. Jego śliczna, chorowita, chłopięca twarz była sina z zimna, i drżał cały. Pomógł wsiąść baronowej, usiadł obok niej i wtedy uśmiechnęła się też ta wątła, chorowita twarz chłopięca, oblewając się pąsem. Werner postać jeszcze chwilę, odprowadzając wzrokiem sanie i powiewający błękitny woal na wydrowej czapeczce; osłaniał przy tym ręką oczy od słońca, by dłużej i lepiej widzieć. - Uważam, że to bezwzględność - rzekła przy obiedzie Lena do męża - że ci Werlandowie wciąż cię do siebie proszą! Jestem sama w każdy niedzielny wieczór. Przecież przynajmniej niedziele należą do rodziny! Werner wzruszył ramionami, cóż, tu się nie da nic zmienić. Tam dzieje się niewesoło, więc on powinien... Ale tu Lena się rozgniewała. - Ach, co tam! Ten baron, który wygaduje bezbożności i nieprzyzwoitości, to żadne towarzystwo dla duchownego. Werner na to tylko się uśmiechnął, jedząc spokojnie swoją niedzielną

pieczeń. Lena irytowała się coraz bardziej. - Ach, co tam baron! To wcale nie o niego... To przez nią! To ona! - Ona? - Werner podniósł wzrok. - Naturalnie! Ona! - ciągnęła Lena z szaleńczą odwagą, choć czuła, że to, co chce powiedzieć, zmieni sytuację w nader niemiły sposób. - Ona... ona chce mieć towarzystwo! Nie wystarczy jej, że ten biedny Pichwit patrzy zakochanymi oczyma, chciałaby mieć do kokietowania takiego dużego, pięknego mężczyznę jak ty! Werner zbladł, jak zawsze, kiedy wzbierał w nim gniew. - Leno! - krzyknął i dłonią uderzył w stół, aż zadźwięczały talerze. - Co to za gadanina! Tu, przy moim stole, nie będzie się mówiło tak o tej szlachetnej, ciężko doświadczonej kobiecie! Lena mocno się wprawdzie zaczerwieniła, ale nie dała się zastraszyć. Mruknęła, żeby zachować ostatnie słowo: - Ale przecież tak jest! Przytulność obiadowego nastroju przysnęła. Nie padło więcej ani jedno słowo. Amfilada pokojów w zamku Dumala nie była oświetlona, gdy stary Jakob prowadził tędy pastora Wenera. Zimowy mrok zalegał wielkie, ciężkie umeblowanie, przydając mu jakiegoś opuszczenia i zamierzchłości. Pachniało starym, zakurzonym drewnem w tych wysokich komnatach. Boazeria i posadzka nieustannie potrzaskiwały. - Nie zapalaliśmy tu światła - oznajmił Jakob. - Po co? Nikt przecież tędy nie chodzi. Podniósł swą bladą twarz ku Wenerowi i patrzył na niego smutno wyblakłymi oczami. Chyba dawniej była to ładna twarz, teraz i ona wyglądała zwietrzała i zaniedbana. - Po co? - powtórzył chrypliwie. Jedna z komnat, które mijali, pachniała białym heliotropem. W oknach jej wisały jasne firanki, z ciemnych kątów połyskiwały małe mebelki na złoconych nóżkach. "Jej pokój", pomyślał Werner, wdychając głęboko aromat heliotropów. I źle się też dzisiaj czujemy - informował dalej Jakob swym płaczliwym głosem. - Mamy silne bóle w nodze. - Pokój z kominkiem oświetlała nagle duża lampa, przesłonięta zielono: światło w pokoju chorego. Baron Werland siedział w swoim fotelu przy ogniu, nogi miał owinięte czerwonym pledem, postać nieco zgarbioną. Jego regularne rysy pokrywała woskowa bladość. Włosy starannie

ufryzowane, wąż podkrecony. Tylko głębokie oczodoły kładły na tę bladość bardzo ciemne cienie nad niespokojnie błyskającymi oczyma. Chorego otaczał silny zapach opopanaksu. - Aha, nasz duszpasterz! - powitał Wenera swym wysokim głosem. - Dobrze mieć kogoś, kto musi być miłosierny z urzędu, komu, że tak powiem, za to płacą. Werner roześmiał się. - No, bywają tacy, którzy to czynią dla sportu! - zauważył. - Sport! sport jest niemodny. Niech pan siada, pastorze! Zimno, co? Karola czytała przy lampie. Teraz powitała pastora. W niebieskiej ciepłej sukni postać jej była wysoka i giętka. - Dziękuję, że pan przyszedł - rzekła po prostu i znów potrząsnęła koleżeńsko jego ręką. Przyniesiono fotele do ognia. Karola przytulnie umościła się w swoim i pełna oczekiwania wpatrzyła się w Wenera, jak dziecko, które spodziewa się, że dorośli będą je zabawiali. Werner zacierał zmarznięte ręce, w lekkim zmieszaniu, jakie go często ogarniało. - Jak się pan czuje? - spytał dwornie barona. - Źle, pastorze - odparł baron - po prostu źle. Nie śpię w nocy, wściekłe bóle: to wystarczy! Ta przeklęta odwilż z wiatrem... - Ogromnie współczuję - rzekł Werner trochę sztywno. - Pan współczuje, pastorze - podjął baron. - Naturalnie, pan jest litościwy. To należy do zawodu. Tyle, że nie pomaga. Wie pan, co bym chciał dla odmiany raz usłyszeć? - No co? - Kiedy powiadam, że mi źle, żeby mi kto tak z serca odpowiedział: To mnie cieszy! Ale tak z serca, wie pan. To byłoby wreszcie coś nowego. Z tego bym mógł się porządnie pośmiać! - Ktoś taki niełatwo się na szczęście znajdzie - zauważył Werner. Baron skrzywił się: - Nie wiem. Może jakiś spadkobierca, mocno pożądamy pieniędzy. Ale nie to chciałem panu powiedzieć, pastorze. Dziś w nocy nie mogłem zasnąć, więc rozważałem sobie znowu dokładnie pańskie widoki na nieśmiertelność, pańskiego życia po śmierci. - Mojego? - No tak, skoro musi pan mieć o tym kazania. Ale, pastorze, te widoki są słabe. Mogę sprawę wykręcać i obracać, jak chcę, ale dziś w nocy były słabiutkie te widoki - równe zeru! - Rozmyślaniami chyba tu do niczego nie dojdziemy - zastrzegł się Werner z

roztargnieniem, jak zwykliśmy uczestniczyć w rozmowie, którą wielokrotnie już byliśmy zmuszeni prowadzić. Ale baron wpadł w ferwor: - Ja wiem: wiarę. Ale pańska wiara to sztuka, do której nie mam talentu. Cud - dobrze. O cudach nie można mówić. - Ach! - rzekła Karola - czy mamy znów o tym mówić? Baron prychnął: - Naturalnie! Wy jesteście zdrowi. Czasem przelotnie pomyślicie: Nieśmiertelność - jak pięknie! Życie po zgonie - zachwycające! i na tym koniec. Ale ja? Mnie to teraz obchodzi! Widzi pan, pastorze, kiedy pan chce siedzieć w domu, cóż, wówczas jest panu obojętne, kiedy idzie pociąg pospieszny do Paryża i czy ma dalsze połączenie. Powie pan wtedy tak ogólnikowo: Ach, pospieszny, to pięknie! Ale kiedy kufry są spakowane, ba, wtedy przegląda pan rozkład jazdy, zależy panu na dokładności. Otóż zaglądam do rozkładu jazdy, pastorze, i powiadam panu: nie ma dalszego połączenia. Będziemy tak leżeć. Ciepło kominka rozebrało Wenera i powieki zaczęły mu ciążyć. Słuchał już na poły tylko wysokiego, wzburzonego głosu chorego. Nie patrzył na Karolę, ale poczucie jej obecności, uczucie, że spojrzenie jej spoczęło przez chwilę na jego twarzy, lekki aromat heliotropu, ciche dźwięczenie jej bransoletek - wszystko to napełniało go błogością, co niby szlachetne wino rozgrzewała mu krew. Zupełnie machinalnie czynił swe zastrzeżenia, odpowiadając na perory barona. - Tak, ale bez życia pośmiertnego, czy ma sens doczesne? Tyle zachodu dla tej odrobiny ziemskiego bytowania? - Brawo, tu_m pana czekał - baron niegłęboko zaklaskał. - Wasz główny atut. Naturalnie: to absurd, ta odrobina życia na ziemi. Bardzo słusznie. Niech pan posłucha: Otóż jest sobie młody człowiek, dobrze się zapowiada, przystojny, starego rodu, pieniądze, uczy się czegoś, bystry, posiada zamek, piękną żonę. Dobrze! Krótko po czterdziestce odjęto mu nogi. Po prostu; i taki kawałek rdzenia pacierzowego, widzi pan: taki kawałek - do niczego. Do wyrzucenia. I po wszystkim; finis! Żyje się tylko, aby otulać nogi czerwonym pledem i czekać na bóle. Takie życie to nonsens. I po to te wszystkie trudy, być urodzonym,

wychowanym. Ale proszę mi powiedzieć, pastorze, gdzie jest napisane, że istnienie musi mieć sens? proszę, gdzie? Karola, dziecko, co o tym powiesz?

Karola przeciągnęła się lekko w swoim fotelu. - Ja? - zapytała znużonym głosem.

- Czemużby nie mieć nadziei, nie czekać? Widzi się prowadzącą gdzieś długą, długą aleję... po co wyobrażać sobie nagle czarny mur? Nie lubię tego. Chcę patrzeć daleko, daleko, aż tam, gdzie od jasności w oddali nic już nie mogę rozróżnić. - Hm, prześlicznie - zauważył baron. - Poezja, to jest coś dla zdrowych. Kiedy leżycie w łóżku, a sen nie nadchodzi, a we wszystkich nerwach szarpie i ciągnie, wtedy i poezja nie wystarcza. Nie, mój kochany pastorze, źle z waszą nieśmiertelnością. Zmęczył się mówieniem, odchylił głowę na oparcie i zamknął oczy. W pokoju zapadła cisza. Wyraźnie słychać było za boazerią gorliwą pracę myszy. - Znów tu jest - rzekł baron, nie otwierając oczu. - Nie ma rady! To stare pudło chce się rozpaść, zaczyna się odzywać, jak stara baba. Ale nie warto już nic czynić, już nie warto. Mówił powoli i monotonna, rozbrzmiewało to rezygnacją wśród zielonego półmroku pokoju. Ciche, beznadziejne westchnienie chorego zdawało się zamykać wszystkie wrota ku życiu. Werner spojrzał na Karolę i spotkał jej wzrok, dziwnie połyskliwe spojrzenie wąskich szarych oczu. Kąciki ust uniosły się wyżej, jakby w początkach uśmiechu. Werner i Karola patrzyli na siebie spokojnie, jakby ratując się na powrót ku życiu z przygnębiającego smutku tej komnaty. Jakob przyniósł herbatę. Wraz z nim ukazał się Karl Pichwit.

Skłoniwszy się niemo, usiadł. - Ach! - zawołał baron. - Pan Pichwit, paż. Pan Pichwit, trubadur! Pichwit wykrzywił swe zbyt małe, dziecinne usta w wyniosłym uśmiechu. Siedział w milczeniu i obserwował zamyślony ręce Karoli, krzątające się wśród filiżanek; patrzył stale, w rozmarzeniu, okrągłym, jasnobrązowym okiem - Karola nazwała je "białą kawą" - oczom tym niebieski cień pod powieką nadawał wyraz zatroskania. Baron przymrużył oczy, popatrzył na Pichwita, potem na Karolę i bezgłośnie zaśmiał się do siebie. - Tak, każdy na swój sposób - odezwał się,

mieszając herbatę. - Czy zna pan, panie pastorze, barona Rasta? Behrenta Rasta, naszego sąsiada? - spytał. Tak, Werner znał barona Rasta z Sielen. - No, ten - ciągnął Werland - nie pozwala sobie na wytchnienie dniem ani nocą, po to tylko, by jak najszczelniej zapełnić sobie życie. Spieszy mu się! I co się okazuje? Ma pojedynki, ryzykuje życie w wyścigach, uwodzi cudze żony, sprawia, że o nim gadają. Dobrze! Pracuje, jakby mu za to płacili. Dlaczego? Tylko dlatego, że Behrent Rast jednocześnie siedzi w łoży, przygląda się, co Behrent Rast robi, i woła: "Behrent to istny diabeł", i bije brawo. Czy ta odrobina próżności wynagradza to wszystko? - Znam barona za mało, by móc o nim wyrokować - rzekł Werner tonem odmowy. - Pozna go pan - mówił Werland. - Niechże pan pilnuje owieczek swojego stada, pastorze. Rast jest nieumiarkowanym pozeraczem kobiet. - Behrent Rast jest bardzo zajmujący - zauważyła Karola. Baron zaczął się śmiać. - Tak, kobiety takich lubią. Aktor pod każdym względem. Niech pan zapamięta, Pichwit: chce się pan jakiejś kobiecie podobać, musi pan jej wmówić, że pan gra jakąś rolę specjalnie i wyłącznie dla niej. - Czy to takie pewne? - spytała znużona Karola. - Zupełnie pewne - oświadczył Werland. Nagle wparł się głębiej w fotel. - Już znowu są, towarzysze przekłęci - te bóle! Panie Pichwit, czy pan już dopił herbatę? Tak? Zatem - dobranoc. Pichwit zaczerwienił się, i wprawdzie wyniośle się uśmiechał, lecz oczy załśniły mu wilgotnie. Skłonił się niemo i wyszedł. - Czemu wysyłasz biednego chłopaka z pokoju? To go obraża - zapytała Karola. Baron zachichotał. - Wie pan, pastorze? Pan Pichwit jest mianowicie zakochany w mojej żonie, śmiertelnie zakochany, tak jak w angielskich powieściach. No, tak, naturalnie, czemużby nie? Mnie to sprawia wielką uciechę! Miodowe oczy! - Daj mu spokój - rzuciła Karola. - Przecież daję mu spokój - zapewnił Werland. - Tylko w niektóre wieczory te oczy działają mi na nerwy. Niechże sobie idzie do swojego pokoju. Dziś jest na niebie coś w rodzaju księżycowej poświaty, więc może sobie pisać: bo, mianowicie, pan Pichwit pisze

wiersze. W oczach miód, a w sercu - chinina, gorzko_słodko, to u tych młodych, za każdym razem wydaje na świat lirycznego poetę. Och, ty przeklęta! - Tu chwycił się za nogę. - Karola, pójdź tu, dziecko, rozetrzyj mi trochę nogę. Trzeba panu wiedzieć, pastorze, że ta kobieta ma coś w rodzaju magnetycznej siły w palcach. Karola przysunęła niski stołeczek do fotela swego męża, usiadła i zaczęła powoli przesuwając rękę po czerwonym pledzie, gładząc nogę chorego. Baron odchyliwszy w tył głowę, zamknął oczy. Werner przyglądał się tej ręce, jak powoli równomiernym ruchem sunie po czerwonym pledzie, wąska i biała, i pełna pierścieni. W blasku ognia była ta ręka całkiem roziskrzona ostrymi, kolorowymi światełkami. Chory oddychał teraz głęboko i regularnie. Chwilami jęczał. - Pani jest cierpliwa - rzekł cicho Werner. - Ja? - Karola zdumiona podniosła głowę. - Skąd pan wie? - Widzę. - Boże! cóż to można zobaczyć. - Po czym spytała półgłosem: - Prawda, w młodości był pan szalonym chłopcem? - Ach, popełniało się głupstwa - odparł Werner. - Człowiek wydawał się sobie interesujący. A interesujące było to właśnie, że było się młodym. - Pan się wcześniej zaręczył? - Tak, jako student. Rozmowa, prowadzona półgłosem dobrze obojgu robiła. Wszystko jedno, co mówili; szeptanie zbliżało ich. - Ach, tak - powiedziała Karola - teologowie zawsze się wcześniej zaręczają. Naturalnie jest pan bardzo szczęśliwy. - Naturalnie? Dlaczego? - Pastorskie małżeństwa są zawsze szczęśliwe. - Ach, tak!... Uśmiechnęli się oboje. Chory zajęczał mocniej. - Niech Jakob zaprowadzi go do łóżka - postanowiła Karola. Werner wstał: - Tak, już późno. Ja też już pójdę. Karola odprowadziła go aż do drzwi sieni. Przystanęła, oparta o framugę i patrzyła, jak wkładał futro. - Pewnie się pan cieszy, że wraca do domu. Kiedy pan wraca stąd, pewnie jest podwójnie przytulnie? - mówiła. - Czy pan jeszcze będzie coś jadł? - Nie wiem... - Z pewnością żona czekała na pana - uśmiechnęła się swoim lekko drwiącym uśmiechem. - Dobranoc. Wiatr dął nad równiną. Sanie sunęły bezszelestnie po wilgotnym śniegu. Werner smagał bezlitośnie swego

srokatego. - Hej, hej, naprzód! Był mu teraz potrzebny wściekły pęd. Chciał poczuć na twarzy wiatr, jak uderzenia bata. Naprzeciw widział plebanię. Światło migotało przez okno. Nie - nie tam! "Tam będzie przytulnie" - jakże ona to powiedziała, z drganiem kącików ust, jak gdyby wiedząc, że tam - tam, gdzie jest "tak przytulnie", teraz nie może jechać. Skręcił na drogę wiodącą w przeciwną stronę: ku lasowi. Tylko naprzód! Naprzód! Na wąskich drózkach leśnych było ciemno, nad nim szumiały sosny, szum namiętny, to cichnący, to wzbierający, niczym oddech olbrzymiej piersi. Tu i ówdzie trzasnęła sucha gałąź, ostro, przenikliwie, jak okrzyk bólu. To Wernerowi dobrze robiło. Jakby szalała i wołała ponad nim jakaś potęga - za niego szalała, wykrzykując to, co się w nim chciało wydostać na zewnątrz. - Heej! Heej! - popędzał konia. Musiał się nisko pochylić, by przejechać pod zwisającymi gałęziami, i obsypało go całego kroplami. Z wierchołków hałaśliwie zrywały się wrony. Spłoszona sarna łamała się skroś poszycia. Werner nie wiedział, dokąd jedzie - aby naprzód, w tę ciemność, w to wianie i szum, w te krople i aromaty. Nagle koń stanął. Był przy karczmie. - Nie chcesz już dalej, biedaku - rzekł Werner. Zwierzę sapąło i parskąło. Werner wysiadł. Do diabła, tak! Spienił konia! Nie ma rady! - Hej, gospodarzu!! Jost! Oberżysta ukazał się, pochyliwszy bardzo nisko swą olbrzymią postać, aby przejść przez drzwi. - Co? To sam pan pastor? - Tak, tak, proszę się za długo nie dziwić! Zaprowadzić konia do szopy, wytrzeć; a potem grogu! Byle szybko! Werner wszedł do szynkowni. Przy stoliku siedział drwal i spał, położywszy głowę na stole, na złożonych ramionach. Przy piecu, oparty głowę o swój tobołek, spał kramarz wędrowny. Obaj śpiący wykrzykiwali chrapliwie charczące, bełkotliwe tony, chrapiąc ku sobie przez pokój. Drzwi do przyległego pokoju - "męskiego" były przymknięte. Stamtąd dochodziło szemranie głosów. Werner otworzył te drzwi na oścież. - Aha, znajduję towarzystwo - wykrzyknął. Siedzieli tam: organista Sahlit i nauczyciel Gr~ov, i przy kopczącej lampie pili grog. Płochliwie zerknęli

na drzwi i podnieśli się z krzesel. - Cisi grzesznicy - rzekł Werner. - No, siadajcież, jeżeli teraz zostawicie swój grog, to nie poprawi sytuacji. - Co tam, raz w niedzielę - mamrotał Sahlit, który był już pijany. - Dobrze, dobrze. - Werner rzucił się na krzesło i rozpiął futro. Szalona jazda odświeżyła go. Roześmiał się do obydwu dziwacznym twarzy naprzeciw. Sahlit miał błyszczącą nagą czaszkę, czerwone plamy na twarzy i cnotliwe, pływające oczka. Nauczyciel wyglądał nader dostojnie, na zapadniętych policzkach widniały czerwone, hektyczne wypieki, rude włosy splątane na bladym czole. "Wygląda, jak nieudolnie narysowany Schiller!" - pomyślał Werner. - Wy, Sahlit - rzekł - dzisiaj w kościele znów graliście jak świnia. To od tego picia. - Nie, panie pastorze - usprawiedliwiał się Sahlit - te stare organy, łajdaki, nie odpowiadają już. - Gdybym sam był organami, też bym wam nie odpowiadał - mówił Werner. - A pan, Gr̃ov, przychodzi tu dla rudej Marri. To niestosowne dla nauczyciela. - W tygodniu pracuję ponad swój obowiązek - odparł dumnie nauczyciel - w niedzielę odpowiadam sam za siebie. - No! Oto i grog - przerwał rozmowę Werner. Marri, duża, rudowłosa, o dziwnie czerwonych brwiach na białej twarzy, przyniosła grog, po czym ustawivszy się przy piecu, nie odwracała oczu od Wenera. - Cóż, dzieci, skorośmy się już tutaj spotkali... - rzekł Werner, podnosząc swoją szklankę. - Zdrowie pana pastora - wybąkał służalczo Sahlit. Werner wyciągnął przed siebie nogi. Trunek wchodził w niego rozkosznym upałem. - No, śmiało dzieci. O czymście rozmawiali? - Ach - rzekł Sahlit - Gr̃ov staje się bardzo dumny na rauszu. Jak się napije, mówi o wielkich sprawach państwowych, no, i wtedy wszystko wie lepiej. - Tak, po to się przecież pije - palnął Werner. - Gr̃ov wie wtedy wszystko lepiej, a wy, Sahlit, jesteście wtedy wspaniałym muzykiem. A obaj razem już kiedyś pokażecie pastorowi, czy nie? - Co możemy pokazać? - mruknął Sahlit i zerknął płochliwie na nauczyciela. - Tak! Już my temu pastorowi pokażemy; o tymście mówili! - Werner uderzył dłonią w stół i

roześmiał się. - Tak, dzieci, pokażecie mu wreszcie! Pan Gr̃ov trzema szklankami grogu sprawił sobie cały świat dumy i odwagi. To przecież tanio. - Moją jest duma i moim jest grzech - rzekł z mocą nauczyciel. - Dobrze, Gr̃ov - przepił do niego Werner. - Bierze pan to na siebie. Pan odpowiada za to, chociaż pan sobie wyobraża, że jest bardzo wielkim i zuchwałym grzesznikiem; z powodu Marri i przez grog. Tak, to wprawia pana w dumę, że pan jest takim ogromnym grzesznikiem? Wtedy jest się nie byle kim. - Sam odpowiadam - powtórzył bardzo zdecydowanie Gr̃ov. Jest się grzesznikiem, nie ma rady - mruzczał Sahlit. Werner się śmiał: - Ależ nie jesteście wcale wielkimi grzesznikami! Wyobrażacie to sobie, żeby wam grog lepiej smakował! Czy Gr̃ov będzie miał jutro ból głowy albo Sahlit będzie miał kaca, to zupełnie obojętne. Biedne stworzenia, zlążą się potajemnie, chcą pić zebrać w sobie troszkę odwagi i pychy, chcą pokazać temu pastorowi, nazajutrz zaś nic mu nie pokażą, a z pychy i odwagi też nic nie pozostanie, prawda! Tego sobie diabeł nie zapisze na konto wygranej! To nic nie jest! - Ciało jest słabe - bełkotał Sahlit, złożył rękę - a skrucha i pokuta długie! - Katzenjammer, nie skrucha! - krzyknął mu Werner. - Jutro znów będziecie fałszować na organach, a Gr̃ov swoim uczniom napisze wzór z błędem, tak samo przepętniecie przez ten dzień, jak przez inne. To nie pokuta, to jest co innego! Nauczyciel słuchał w milczeniu. Podniósł głowę, kark trzymał sztywno. Uśmiechał się z wielką wyższością. Teraz zaczął mówić, prędko i niemal falsetem: - Być może, proszę pana pastora, iż grzechy wytwornych panów są nie dla nas. My jesteśmy biedni, mali ludzie. Skąd byśmy brali wielkie grzechy? Nie są one dla nas. I tak nic się nie ma z życia ani też... ani z grzechów. Taka to już sprawiedliwość społeczna. Możliwe, że pan pastor bardziej się interesuje wytwornymi grzesznikami, wedle stawu grobla. Nie ja zrobiłem świat. Ja bym też wolał taką lampę, co nie kopci, grog bez fuzlu i... i - zaczerwienił się, śmiałość jego ataku uderzyła mu do głowy - i wytworną panią. - Brawo, Gr̃ov! -

zawołał Werner. - Marri, jeszcze szklanę. Twój nauczyciel to mężczyzna!
Chciałby pan równego podziału grzechów? Ma pan słuszność! - Jeszcze i to
nadejdzie - prorokował Gr̃ov. - Daj Boże - modlił się Sahlit, nie rozumiejąc.
Werner oparł głowę na dłoni i zamyślił się. - Biedne łotryki! - powiedział do
siebie. - Muszą się tu skradać nocami, by zaznać nieco pychy, pobyć troszkę
socjaldemokratą, sprawdzić, czy Marri ma czas. A nazajutrz - nic. Minęło.
Podniósł wzrok, obejrzał z namysłem obie dziwaczne twarze swoich towarzyszy. -
Cóż, wiecie, wam będzie wiele wybaczone, bo, bo jesteście tacy szkaradni. - Amen
- mruknął Sahlit. Głuche zmęczenie, napawające go smutkiem, przygniotło Wenera.
Powietrze było ciężkie od kopcia i wyziewów grogu. Sahlit płakał teraz. Duma
Gr̃ova stawała się upiorna, przy czym rzucał miłosne spojrzenia na dziewczynę
przy piecu. A ta dziewczyna, wpatrująca się nieprzerwanie w Wenera bladym,
okrągłym okiem, mająca dużą, białą twarz, nagie ramiona, miękkie, rozplynięte
biust - całym tym białym, rozpustnym cielskiem budziła odrazę w Wenerze, tym
silniejszą, że rozpałała mu jednakże krew, co było mu niewymownie obmierźłe.
Podniósł się. - Jedźmy już. A panowie ze mną. - Dzięki, dzięki - bełkotał
Sahlit. W saniach Werner kazał oberżycie dobrze zapiąć fartuch: - Inaczej
pogubię swoich gości. No, trzymać się, ruszam. Popędził srokacza. Wiatr wicherzył
jeszcze wierzchołki sosen. Skroś chmur prześwitywał na mgnienia księżyc,
światło ruchome, jakby ktoś biegł ze świecą wzdłuż długiego szeregu okien. I
wszystkie cienie na dole poczęły się ruszać, sunęły po wysokich pniach tam i na
powrót. - Boże, bądź nam miłościw - modlił się Sahlit. - Hej, hej! - krzyczał
Werner. Podmuchy i wianie skąpały go znów w czystości. - Hej! - Frunęli po
małych ścieżkach leśnych. Lekko zamrażnięte bagno trzeszczało pod kopytami
konia. - Trzymajcie się, dzieci - rozkazywał Werner. Srokacz przystanął, lecz
Werner strzelił z bicia. Jedno szarpnięcie - i już byli na Moście Wisielca. Nad
głęboką przepaścią, dawnym, być może, kamieniołomem, gdzie głązy spały w

czarnych wodach, był prymitywny most, zbity z kilku desek na kilku wysokich palach. Wszystko to teraz zmurszałe i przegniłe, poręcze powyłamywane. Od dawna nikt nie ważył się przejeżdżać tym mostem, ani nawet nań wstąpić. Szymon Buraczany - pijak - powiesił się był pośrodku tego mostu, nogi wisały nad otchłanią, a kiedy postronek się urwał, Szymon Buraczany spadł do wody i nigdy nie odnaleziono jego zwłok. Tak głęboki dół musiał tam być w czarnej wodzie; tak sobie ludzie opowiadali. - Panie pastorze! - rzekł Gr̃ov chrypliwie. - Łaski - zaskomlił Sahlit. Ale srokacz gnał. Wykonywał rodzaj tańca, by przebyć zmurszałe deski. Tu było gładkie miejsce, tam kopyto przebijało przegniłe drewno, ówdzie znów była szpara. Sanie ślizgały się wysoko, nad wodą. Nieco księżycowego światła padało w przepaść. Werner odczylił się w tył na saniach. Potężne napięcie prężyło w nim każdy nerw, zachłyśnięte oczekiwanie, w każdym mgnieniu mogło to nastąpić, to nowe, nigdy nie przeżywane. Kołysało go upojenie, a zarazem spokojna, obserwująca myśl: więc to jest tak, kiedy się stoi przed tym, to jest tak, kiedy się to przeżywa. Sahlit skowyczał cicho niczym pies, który stoi przed zamkniętymi drzwiami i chce wyjść na dwór. Teraz jeszcze jedno szarpnięcie i koń ma pod nogami pewny grunt. - Taak - rzekł Werner i odetchnął głęboko. Wypuścił lejce. Koń już sam odnajdzie drogę do domu. Znużenie, niby po wielkim wysiłku, ogarnęło Wenera. Spojrzał na swoich towarzyszy i poczuł dla nich coś w rodzaju czułości. Organista miał wciąż jeszcze zamknięte oczy i kwilił. - Człowieku! Już po wszystkim! - krzyknął na niego Werner i potrząsnął nim. Sahlit otworzył oczy i rozejrzał się, jak ktoś budzący się ze straszego snu. - Dziękuję, dziękuję, panie pastorze - jękał. Księżyc oświecił na mgnienie twarz nauczyciela, bladą upiornie. Po wydatnych kościach policzkowych z czerwonymi plamkami płynęły łzy, błyszczące wyraźnie w księżycowej poświacie. - Pan przecież płacze, Gr̃ov? - zdziwił się Werner. - Tak? - odpowiedział. - Ja nie wiem! - Zalana łzami twarz pozostała nieruchoma i drętwą. - Dobrze się pan

trzymał, Gr̃ov - zauważył Werner. Chciał powiedzieć temu człowiekowi co przyjemnego. - Nie odpowiadam za to - stwierdził ów, cicho i monotonicznie, jak się mówi przez sen. - Pan pastor chciał nas może ukarać. Czy miał do tego prawo, jest wątpliwe. - Nie, nie, do tego nie miał prawa - powiedział Werner. - Proszę mi przebaczyć, Gr̃ov. - Ja proszę o to, panie pastorze - rucił niedbale Gr̃ov. Koń różnym truchtem ruszył ku plebanii. - Będziemy dobrze spali - zauważył Werner. Tak, chciał spać, cieszył się na długi spokój bez marzeń sennych. Równina, po której sunęło pełgające światło księżycowe, przedstawiała mu się już teraz jako daleki cichy pejzaż ze snu. Było późne popołudnie. Werner poszedł do starej komornicy, matki Gehda, która nie mogła umrzeć. Staruszka leżała w swoim łóżku, tak wyschnięta i żółkła, jak konik polny. Z głębokich oczodołów patrzyły mętne oczy, cierpliwie i nieruchomo, w oczekiwaniu. Gdy pastor usiadł przy łóżku i zapytał: - No, jak tam, matko Gehda? - milczała, jakby nie warto było na to odpowiadać. Synowa jej, chałupnica, odezwała się skwapliwie: - Ach, panie pastorze, brak jej tchu, co to za życie! Stara jest, chce zemrzeć, no, tak! Wczoraj zrobiliśmy jej ciepłą kąpiel, dobrześmy ją namydłili, zobaczy się, jak będzie. Werner wypowiedział krzepiące słowa. Każda chwila, jaką Bóg nam zsyła, może być ważna dla naszego zbawienia. Cóż znaczy odrobina czekania wobec całej wieczności przy Nim! Wtem Umierająca zaczęła mówić głębokim, mrukliwym głosem, jakby zlorzeczając komuś: - Męczył się człowiek, nawóz rozrzucał, plewił ogród... Tera by chciał mieć spokój. Ma prawo tego żądać: ostatnie namaszczenie przyjął, wszystko gotowe. Ale nie - i nie. Werner milczał. Cóż miał na to odpowiedzieć? Stara wiedziała lepiej. Żądała śmierci jako swojego prawa. Tu nie musiał pocieszać. Wstał: - No, matko Gehda, Pan Bóg dopomoże. Musimy mieć cierpliwość. Wyszedł. Dzień był zimny, z lekkim przymrozkiem. Słońce zachodziło czerwono za oszronionymi drzewami. Owo "człowiek chce mieć spokój" starej, brzmiało Wernerowi w uszach kojąco i spokojnie, kiedy szedł przez las. Po to się żyje,

aby znać tęsknotę za głębokim spokojem, owo pragnienie dobrodziejstwa śmierci.

Cóż prawić staruszce o błogości wieczystej, o żywocie wiecznym? Ona tęskni za wiecznym spokojem od rozrzucania nawozu i plewienia sadu. Wesoły był biały las w czerwonym słońcu i rzeźwe mroźne powietrze. Wszystko wyglądało tak ozdobnie, jakby miało się tu zdarzyć coś dobrego, coś uroczystego. Rozdzwonił się po lesie dzwoneczek, bardzo jasny, niby srebrny śmiech. Werner przystanął nasłuchując. Dobrze znał to dzwonienie. Było ono czymś należącym do scenerii odświęt nego białego lasu. Pastor zaśmiał się chłopięco radosnym śmiechem. Wnet też ujrzał sanie, oba zaprzężone w szpic kare konie, futrzaną czapę i brunatną liberię.

Karola sama siedziała w saniach. - Pastorze! - wykrzyknęła na jego widok. - Pojedzie pan? Albo nie! Peter, proszę stanąć. Wsiądę, Peter zacczeka na mnie przy alei. Pójdę kawałek z panem. Wskoczyła z sań. Jej futro i futrzana czapka były oszronione, policzki zaczerwienione. Podając pastorowi rękę śmiała się całą twarzą. - Jakie to piękne, pastorze! Ten las i czerwone słońce! Jak same panie na balu, pod deszczem malinowego soku. Szła obok niego, mówiąc z ożywieniem: - Byłam z wizytą u baronowej Huhn z Debschen. Och, ależ było nudno! Już na sam widok sucharków z Debschen robię się smutna. Wszystko pachnie tam sucharkami. Skąd się też to bierze? Życie tam musi być jedną ciągłą porą podwieczorku.

Tęskniłam, żeby stamtąd uciec. Las o tej porze to coś najelegantszego na świecie! Jak delikatnie śnieg chrzęści, kiedy się po nim idzie, niczym cukier.

Tak trzeba by zrobić latem: jakąś drogę posypać cukrem, a po brzegach niechby stały bardzo czerwone tulipany. A pan gdzie był? Werner opowiedział o matce Gehda, i jak się ona nie może doczekać zgonu. - I ta wizyta pewnie pana zasmuciła? - zapytała Karola i z rozczarowaniem spojrzała na pastora, ku górze.

- Nie - odrzekł - taka rzecz uspokaja: ten dom, gdzie czeka się na śmierć, gniewnie i niecierpliwie, jak na spóźniający się pociąg. - Tak. Więc ona się nie boi - rzekła Karola uspokojona. - Kiedy ludzie chcą żyć, a już nie mogą, tego

nie lubię. Wyszli z lasu. Przed nimi rozpościerała się równina, cała zalana światłem o barwie centyfolii. Słońce zachodziło. Dokoła niego, na bżowym niebie, piętrzyły się wielkie różnobarwne chmury. Wyciągnięte wzdłuż kłuty niebo, na kształt złotych kling, albo znów okrągliły się niby różane nagości, obwieszane złotym woalem. Karola wydała niegłośny okrzyk, a potem znieruchomiła ze zwieszonymi ramionami, tak jak stoimy pod tuszem. Oświetloną czerwono twarz podniosła ku Wernerowi. - Niech pan się nie rusza! - zawołała do niego. - Czuje pan, to sływa po człowieku. Ja wyraźnie czuję, jak nadchodzą fale, różowe i złote fale. Patrzała w słońce. Oczy jej stały się znowu całkiem wąskie: jaśniejące kreski między czarnymi rżęsami. - Pan też jest całkiem różowy, pastorze, różowa twarz, różowa broda! Roześmieli się otwierając usta, jakby mogli pić to światło. Słońce się zniżyło. Teraz była to już tylko czerwona półkula. - Odchodzi! Odchodzi! - zawołała Karola. Otworzywszy ramiona pobiegła drogą w ślad za słońcem. Schowało się. Wszystkie światła na równinie zgasty. W górze chmury przybladły; niebieski zmierzch sunął szybko po śniegu. Karola stanęła. - Wszystko znikło - powiedziała z żalem. Niebo stało się szkliste i bezbarwne. Wisiał na nim biały kawał księżycy. - Jak taka odrobina światła ekscytuje człowieka - powiedziała Karola usprawiedliwiając się. - Jestem zmęczona. Proszę mi podać ramię, pastorze. Boże! Jak ja pędziłam! Uwiesiła się u ramienia Wenera. Tak przeszli z wolna równinę poprzez gęstniejący mrok. Karola mówiła teraz spokojnie, trochę smutnie, jakby do siebie: - Sądzę, że, ponieważ lampa jest u nas stale zasłonięta, zmierzch wydaje mi się smutny. Było właśnie tak, jak gdyby Jakob zamykał drzwi wejściowe. Nakładam wtedy na lampę zielony abażur i zaczyna się wieczór. - Ale pani - powiedział Werner - pani przecież nie jest smutna. Pani jest przecież cierpliwa i radosna. Karola wzruszyła ramionami. - Pan mi już nieraz to mówił, pastorze. Chce pan zapewne pochwalić moją cnotę? Cierpliwa, mój Boże! Ale ja nieszczególnie lubię, kiedy pan mi współczuje. -

Nie, pani współczuć nie należy - odparł szybko Werner. - Mnie nie? - podniosła troszkę głowę i popatrzyła na Wenera ostrymi błyskami swych oczu. - Dlaczego? - Dlatego - Werner zastanawiał się przez мгновение. Następnie wskazał na oba cienie, które księżyc kładł przed nimi na śniegu, wielkie i granatowe: - Widzi pani swój cień? - I cóż stąd? - Po tym cieniu widzę, że pani nie dźwiga potajemnie żadnego ciężaru. - Pastorze, co to jest, to z tym cieniem? - śmiała się Karola. - Historyjka. - No, to proszę opowiedzieć! - Byłem przedtem w niewielkiej parafii, blisko granicy. Podczas polowania zabłądziłem. Zrobiło się późno. Księżyc świecił jak dzisiaj. Wie pani, tam idzie duży przemysł. Otóż na polance, nad niewielką rzeką, ujrzałem sunący z wolna długi pochód. Chyba byli to Żydzi: długie płaszcze, długie brody, duże kapelusze. Wydawali się bardzo silnymi, wysokimi ludźmi. Szli powoli, nieco pochyleni, może z jakimś wysiłkiem. Ale poza tym nic szczególnego nie było po nich poznać. Tymczasem obok nich, na ziemi, szły ich cienie - ogromne, ciemne cienie; i te cienie były dziwnie zniekształcone: miały garby i wypukłości, i narośle. Cienie dźwigały jakieś brzemiona, zdradzały, jak owi ludzie są ciężko obciążeni. - Nie bardzo rozumiem - rzekła Karola, przypatrując się uważnie swemu cieniowi. - Otóż - objaśniał Werner - ludziom, którzy potajemnie coś ciężkiego dźwigają: o, takim współczuję. Ale pani cień, proszę spojrzeć, jak wysmukle i lekko ślizga się po śniegu. Prawie lekkomyślnie. Potajemne ciężary zniekształcają zawsze. - Zupełnie lekko - powtórzyła Karola. - A pański? - Nie wiem - Werner wyprostował się, by uczynić swój cień szczuplejszym. - Może jednak trochę nieforemny? - Nie! - zaprzeczyła Karola gorliwie. - Widzi pan, jak lekko się posuwa. No, tak. Pan jest silny, pan z łatwością może dużo unieść. Milczeli przez chwilę, goniąc spojrzeniem swoje cienie, które ich poprzedzały. - A cień Karła Pichwita - rzekła po chwili Karola - jaki też może być? - Jego? Nie wiem. - Ja myślę, że jest też lekko skarykaturowany - zauważyła z namysłem. Ostatni kawałek drogi

przeszli w milczeniu. Cicho szli przez jasną jak szkło noc księżycową. Karola była zmęczona i opierała się ciężko na ramieniu Wenera. Przed nimi ślizgały się obydwaj cienie, przytulone do siebie tak ciasno, jakby się obejmowały. - Jest już Peter - powiedziała Karola. - Dziękuję! To było dobre. Teraz z powrotem: pod lampę. Proszę przyjść szybko, pastarze; niech pan nas nie porzuca! Podając mu rękę stała tuż przed nim i patrzyła mu w oczy. - Na pewno, pani baronowo, przyjdę - rzekł Werner miękko, jakby się oświadczał. Wsiadła do sanek i pojechała aleją. Werner długo jeszcze stał w miejscu, przysłuchując się dźwięczeniu dzwoneczków, tak jasno śmiejących się w przestrzeń. Powoli i w zamyśleniu szedł potem do domu, nasłuchując cichej, tajemnej wesołości w swej duszy. Na plebanii nie zapalono jeszcze światła. Lena siedziała w pokoju przy oknie, zapatrzona w księżyc. - Co, dziecino, marzysz? - rzekł Werner mile. - Tak, księżyc jest taki jasny - odrzekła Lena, nie wstając by podejść do niego. Więc niezadowolona, pomyślał Werner. To było przykre. Właśnie dziś życzyłby sobie, by wszystko dokoła niego było harmonijne. Postanowił nie zwracać na to uwagi. - Tak, piękny wieczór - podjął - nastroja sentymentalnie. Zapal światło, dziecino. Pomuzykujemy troszkę, co? - Tak, zaraz - rzekła Lena, ale nie zabrzmiało to zachwytem. Miało tło jakiejś kwaskowatej rezygnacji. Kiedy lampy i świece przy fortepianie już zajaśniały, Werner zobaczył, że jest zapłakana. Naturalnie! Ale dziś udał, że tego nie zauważa. Chciał uniknąć drobnych domowych utarczek, nie popsuć wrażenia zorzy wieczornej, podźwiewku roześmianych dzwoneczków w świetle księżyca. Lena siadła do fortepianu i rozłożyła nuty. Werner gawędził swobodnie dalej. - Spotkałem baronową Werland. - Ach, to dlatego pewnie tak późno wróciłeś! - Tak. Przeszliśmy się kawałek razem. - Werner starał się, by w jego głosie nie zabrzmiało najłżejsze zniecierpliwienie. - I ona zostawia na tak długo biednego, chorego męża - rzekła Lena. - To chyba nie nasza rzecz - odparł Werner łagodnie. - Ta kobieta spełnia dostatecznie sumiennie swoje nietatwe

obowiązki. Lena wzruszyła ramionami, jej wypowiedź była niejasna: - A któż nie wypełnia sumiennie swoich obowiązków? Werner nie odpowiedział na ten zwrot, kierując rozmowę na zgoła osobiste tory. Żał mu było młodej kobiety o zapłakanych oczach. Chciał sprawić jej jakąś przyjemność, jak najpiękniej zaśpiewać. Biedna, cierpiąca dusza miała się cała skąpać w uczuciu i słodyczy. To jej dobrze zrobi. Lena położyła ręce na klawiszach i czekała. - Co chcesz zaśpiewać? - spytała. Werner przeglądał zeszyt nut. - Myślę, że "Tyś jest spokojem". - Dobrze - Lena pochyliła się ku nutom i spróbowała akompaniamentu. Werner patrzył na jej ręce. - Słuchaj - rzekł nagle - baronowa Huhn poleciła mi taki płyn do rąk, ręce robią się białe. Lena szybko cofnęła ręce z klawiatury. - Dla kogo? - Dla ciebie. - Dla mnie? - wybuchnęła. - Nagle moje ręce nie są dla ciebie dość białe. Tak, mam czerwone ręce. Naturalnie: przy takiej robocie! Ale dziękuję ci za płyn starej Huhn. Dotychczas ci to nie przeszkadzało! - Czemu się złościysz? - Werner próbował się śmiać. - Przecież przyjemniej jest mieć białe ręce niż czerwone, a jeżeli... - Na pewno - Lena zaczęła płakać. - I może też przyjemniej mieć takie wąskie, węzowe oczy, zamiast takich głupich niebieskich oczu z jasnymi rzęsami, jak moje! Werner wzruszył ramionami. - Dobrze, więc dajmy temu pokój. Czy mam śpiewać? - Lena otarła oczy i zaczęła grać, jeszcze pociągając nosem, jak dziecko. Werner śpiewał, ale przeszła mu ochota: śpiewał źle i bez przyjemności. - Nie da się! - powiedział gniewnie i przestał. Poszedł do swojego pokoju, usiadł za biurkiem i zapatrzył się w światło lampy. Dlaczego musiało się tak stać? Po co zawsze cierpieć albo sprawiać cierpienie? Jak tylko poczujesz odrobinę szczęścia, natychmiast musi się za to zapłacić bólem innej istoty. Dlaczego? dziwaczna ekonomika, dziwaczna buchalteria! Wernerowie byli zaproszeni na kolację do zamku Dumala. Lena stała przed Wernerem prosząc o radę. - Co mam włożyć? Werner nie od razu odpowiedział, bo miał przed sobą księgę rachunkową i chciał skończyć dodawanie kolumny cyfr. - Czarną jedwabną? - Tak,

chyba tak - powiedział Werner, nie podnosząc wzroku. Lena zastanawiała się. -
Ach - rzekła - to takie nudne: wiecznie ta czerrń. Pastorowa, naturalnie w
czarnym jedwabiu. - Skoro już się jest pastorem - wtrącił Werner, nie
przerywając rachunku. - Baronowa będzie, oczywiście, na jasno - ciągnęła Lena. -
Nie przypuszczam - zauważył Werner. - Jako pani domu będzie raczej chyba
skromnie ubrana. Ale Lena się upierała. - Ach, co ona tam nazywa "skromnie"! I
jeszcze baron Rast tam będzie. To podobno taki zły człowiek, jak słyhać... -
Czy to ma jakikolwiek wpływ na twoją toaletę? - Przynajmniej - postanowiła Lena
- dodam do tego wiśniowe wstęgi. - Zrób to, dziecino - rzekł Werner mile - to
będzie śliczne. Czy może też dlatego, że baron Rast jest złym człowiekiem? - Co
to ma do rzeczy? - spytała Lena i wyszła z pokoju. Wszystkie komnaty Dumala były
dziś rześcicie oświetlone. Stare meble w spłowiałych brokatach i o wielkich
powyginanych poręczach stały ponure, jakby je zbudzono ze snu, w jasnym świetle
lamp. Gdy Wernerowie weszli do pokoju z kominkiem, inni goście byli tam już
zebrani. Baronowa Huhn z Debschen, odziana w lśniąca, atłasową szatę, niczym w
zwierciadło, bardzo rozgrzana pod swą białą peruką, rozmawiała z baronem
Werlandem, który w wizytowym garniturze wyglądał jeszcze szczuplejszy i bardziej
kruchy niż zwykle. Obok niego, oparty o kominek, stał Behrent von Rast,
barczysty i wielki. Głowa była dziwnie jaskrawa dzięki krótko przystrzyżonym
czarnym włosom nad prostym, niskim czołem, oraz brodzie, rozdzielonej u
podbródka, która sterczała na boki niczym dwa granatowoczarne płomienie. W
śniadej twarzy uderzało dwoje wielkich, aksamitnie brązowych oczu.
"Nieprzyjemny!" - pomyślała Lena. Karola bardzo serdecznie witała pastora. -
Jakże się cieszę, że widzę panią tutaj. Tak rzadko się widzimy! Lena
zaczerwieniła się, bo zaskoczył ją jawny fałsz takiej uprzejmości. "Przecież ona
mnie nigdy nie zaprasza", pomyślała. Przed kolacją wszyscy siedzieli razem i
gawędzili. Rast dawał się pouczać baronowej Huhn oraz Werlandowi o

gospodarowaniu. - Ach! To jest tak? Jestem bardzo wdzięczny. Boże! ze mnie taki ignorant w rzeczach gospodarstwa wiejskiego. Karola z roztargnieniem gawędziła z pastorem: - Pani ma mnóstwo roboty w domu, prawda? Pani jest muzykalna, jak to miło! Jakob otworzył drzwi do jadalni. - Oprzyj się tylko na moim ramieniu, stary - rzekł po bratersku Rast do Werlanda. - Dzięki! Tak, muszę być prowadzony - zauważył ten. - Nie myślałem, że będę musiał pożyczać sobie jeszcze nogi od innych ludzi. - Nic sobie z tego nie rób - pocieszał Rast. - Bynajmniej nie udowodniono dotychczas, że do przyjemnego życia nogi są niezbędne! Wielkie damy w Chinach właściwie stóp się niemal pozbyły. Przy stole Rast siedział obok Leny, ale Werland zajmował jego uwagę; chciał usłyszeć coś więcej o wielkich damach w Chinach. Werner rozmawiał z baronową Huhn, która opowiadała o służbie domowej. - Szymon, świniarek, powiedział, że jest tu do pilnowania świń i zimą nic innego tak naprawdę nie chciał robić. Karola, trochę blada w ciemnoczerwonej jedwabnej sukni, z nienaturalnie czerwonymi ustami, była milkliwa. - Czy spacer zeszłego wieczora - pytał Werner - dobrze pani zrobił? - Zdawało się, że zapomniała o tym i musiała się dopiero zastanowić. - Spacer?... Ach, tak, był śliczny! Rast zwrócił się teraz do Leny i zaczął rozmowę. Jego duże, aksamitne oczy przesuwały się przy tym, spokojnie i zuchwale, po twarzy i postaci młodej kobiety. Lena czuła się, jak gdyby te oczy powoli ściągały z niej suknię. Zrobiła się ciemnoczerwona. - Jesteśmy przecież sąsiadami. Mam nadzieję, że dobrymi sąsiadami. Pan pastor jest przecież myśliwym? - Mąż już nie poluje - oznajmiła Lena. - Tutaj niechętnie na to patrzą. - Tak? - żałował Rast. - Czyżby polowanie przynosiło ujmę godności? Czy pani pastorkowa ma także ciężkie obowiązki z racji godności? - Każdy ma swoje obowiązki - odparła. - Hm, być srogą, a przy tym taką śliczną, to chyba niedozwolone? - mówił Rast. Lena zrobiła bardzo surową minę. Chciała go przywołać do porządku. Odwrócił się od niej i zawołał do Karoli: - Wie pani, baronowo, kolacja pani jest najlepsza, jaką jadłem od dawna, więc

wolno mi to powiedzieć. Z miejsca wyczuwa się smakiem tradycję! - Nasz Jansohn jest też najbardziej konserwatywnym ze wszystkich kucharzy - przyświadczył Werland. - Tak, tak to właśnie smakuje - potwierdził Rast. - Jakby dokładał wszędzie po parę listków z drzewa rodowego. Rodowa kuchnia - to jest to. Powinno się od razu rozróżnić smakiem: ta potrawa jest werlandowska, a ta - huhnowska. - Dużo śmietany, oto moje rodowe zawołanie - rzekła baronowa Huhn. Kiedy podano szampana, indywidualne rozmowy umilkły i Rast mówił sam; opowiadał anegdoty z całego świata, jedną po drugiej. Jak mu się wszyscy przysłuchiwali, jak się śmieli, Karola także! Werner dziwił się temu. Sam czuł wstręt do tych historyjek i do tego miękkiego, a chrapliwego głosu, tak od niechcienia rzucającego słowa. Popatrzył z naganą ku Lenie, ale nie zważała na nic, słuchała uważnie i przykładała chusteczkę do ust, nie mogąc wstrzymać śmiechu. Jedynie Pichwit zachował powagę i patrzył na Rasta ironicznie i z lekceważeniem. Po jedzeniu Werner musiał ponownie zabawiać baronową Huhn. Werland rozmawiał z Leną niedbale, już odrobinę senny. W niszy okna stali Rast i Karola. Werner widział jej profil, odcinający się wyraźnie i czysto na tle ciemnej kotary. Stała bardzo wyprostowana, z talią odchyloną lekko w tył. Werner słuchał tylko pozornie historii o jakiejś krnąbrnej Trinie, opowiedanej mu przez baronową Huhn. Męczyło go głębokie przygnębienie, uczucie, jakby przeminęło coś, co było mu miłe i potrzebne. Czemu Lena śmieje się tak naturalnie? A prócz tego za wiele porusza rękami, kiedy mówi, co wygląda niezgrabnie. Nastawiał ucha w stronę okna. Rast zdawał się mówić o koniach i o wyścigach. Także Karola śmiała się dziś inaczej niż zawsze, jakimś jasnym, gruchającym śmiechem. Czy doprawdy mogło ją bawić to, co opowiadał ten duży, czarny pan? Werner wpadł w zamyślenie. Miał przed oczyma pokój taki, jakim bywał w samotne wieczory, gdy siedział tu, a Karola, skulona u stóp swego małżonka, wodziła dłonią po jego nodze, i było zupełnie cicho, tak cicho, że słyszeli skrobanie myszy za boazerią, a Karola patrzyła w górę, ku

niemu, on ku niej w dół i spojrzenia ich spokojnie i długo tak trwały złączone, zaś ich milczenie wiodło tak dziwnie ożywione dialogi. Przy kominku zapadła cisza. Werland spał w fotelu. Lena siedziała niemo, zakłopotana. Tam, przy oknie, ci dwoje stali jeszcze razem, ale głosy ich były teraz bardziej stłumione. - Tak, ciężko jest ze służbą - zakończyła baronowa Huhn swoje opowiadanie, po czym westchnęła. Oba głosy przy oknie były teraz jedynym dźwiękiem w pokoju. Bas - miękki, odrobinę śpiewny. Alt Karoli odpowiadał mu natarczywie, tak się Wernerowi zdawało, i z dziecinnym dąsem, jakiego Werner nie znał u niej. Werner wstał. - Leno, już późno. Goście się rozeszli. W drodze do domu, w saniach, Lena była bardzo rozmowna: dobrze się bawiła, ten baron Rast jest bardzo szczególny: można powiedzieć, że interesujący. Trzeba się z nim mieć na baczności, by trzymać go w ryzach. Ale był zajmujący. - A ty utrzymałaś go w ryzach? - spytał drwiąco Werner. - Oczywiście - odparła Lena. - Poza tym musisz też uważać, żeby mówiąc nie gestykulować tyle. To brzydko wygląda. - Ja wcale nie gestykuluję - obraziła się Lena. - A poza tym inni także gestykują - zamilkła urażona. Werner był niezadowolony z siebie. Dlaczego musiał zburzyć to niewinne, drobne zadowolenie z siebie? Po co psuć jej wieczór? Tylko dlatego, że czuł się nieszczęśliwy. A dlaczego nieszczęśliwy? Przecież nie miał nawet prawa być nieszczęśliwym. Lena musiała jednak wyrzucić swą małą zemstę. Rzekła: - Ależ baronowa kokietowała dziś barona Rasta. Och, ta się nie krępuje! Przez dłuższy czas Werner nie słyszał nic z zamku Dumala. Zima źle się zaczęła: od nagłych mrozów, a następnie znowu odwilży. Wszędzie panowały choroby. Werner musiał odwiedzać chorych, wygłaszać mowy pogrzebowe. Pracował usilnie i gorliwie. Ostatni wieczór na zamku pozostawił w nim jakby niepokój, jakby mękę. Należało to zwalczyć, gdyż wydawały mu się podejrzane. Widywał niekiedy Rasta, przejeżdżającego do Dumala. Lena miała niemiły zwyczaj oznajmiać to głośno za każdym razem, niczym ważne wydarzenie. - Baron Rast jedzie tam znów, do Dumala.

- No tak, czemużby nie? - odpowiadał na to Werner, możliwie spokojnie, lecz brzmiało w tym rozdrażnienie. W niedzielę Werner Karolę ujrzął w jej ławce, w kościele. Obok niej siedział Rast w swojej. Przywitali się skinieniami, uśmiechem. Niekiedy Rast pochylał się ku niej, mówił coś, jak w salonie. Karola podnosiła mufkę do ust. Werner bił pięścią w balustradę kazalnicy i grzmiał w dół, na swą gminę, aż stare kobiety ocknąwszy się z drzemki patrzyły na niego, zdumione. Przy obiedzie wypowiadał się bardzo surowo o takim zachowaniu w kościele. Ale wieczorem, kiedy białe mgły rozpościerały się na równinie, otulając dokoła plebanię jakby w wilgotną watę i czyniąc otaczający świat ciasnym, całkiem ciasnym, popędziło Wernera hen, do Dumala. Nie opierając się ani jedną myślą, nie kłócąc się z sobą, nałożył futro, wziął laskę. Wiedział, że jeżeli nagle poczuje w sobie głośny krzyk za czymś, wówczas nic nie pomoże. - Wychodzisz? - spytała zdziwiona Lena. - Tak, chcę zajrzeć do barona, do Dumala. - Nagle teraz? - Tak, nagle teraz. Na dworze mógł widzieć za ledwie na trzy kroki. Wszędzie ta biała, zimna płynność, zasłaniająca wszystko. Był w niej sam, zupełnie, zupełnie sam. Wszystko inne było zatarte, nawet dźwięki zamarty. Sprawiało to ulgę. Stał jakby pośród nieskończoności: bez początku, bez końca. Tu, do tej samotni byłoby dobrze zabrać i wyratować jedną istotę - co była w niebezpieczeństwie; spośród wszystkiego ją w tę chłodną, białą pustkę - wraz ze sobą. Tak, naturalnie: ze sobą! Szyderczy uśmiech nad wybiegami własnej duszy. Z sobą! Dobry z niego ratownik! Tak by chyba chciał ratować także Behrent von Rast. Dumala znalazł bez zmian. Ciemna amfilada pokojów. W pokoju z kominkiem Karola, u stóp swego męża, pociągała dłonią po czerwonym pledzie na jego nogach. - Pan pastor! Brawo! - zawołał Werland. - Zaniedbał nas pan. Mówiłem już: sport miłosierdzia stał się zbyt nużący dla naszego pastora. Niechże pan siada. I opowiada. - Tak - rzekła Karola - proszę opowiadać o leśnikach i obejściach chłopskich, gdzie kobiety budzą się już o pierwszej w nocy, wstają i przędą. Czy

matka Gehda umarła? Tak. Matka Gehda nie żyła. Zasnęła cicho, z tym wyrazem zgryźliwości, jaki nosiła w ostatnich czasach, bo ją gniewała śmierć. Następnie Werner opowiedział o leśniczym, którego zastrzelili kłusownicy. Opowiadał powoli i szczegółowo. Patrzył przy tym na rękę Karoli, na migocące pierścienie, które jeździły po pledzie tam i z powrotem, spoglądał ku jej twarzy, ku oczom, z wahaniem, jakby się bał czegoś, co mógłby w nich znaleźć. Karola zamysłona patrzyła w ogień znieruchomiłym, dziwnie połyskliwym spojrzeniem. Werner widział z tych oczu, że od dłuższego czasu już go nie słucha. Myślami przebywała bardzo daleko. Gdy na moment przerwał, nie zauważyła tego. Werland spał. Wtem w rysach Karoli zaszła zmiana. Pojawiło się jakieś napięcie. Zamrugła rzęsami. Wyglądało, że usilnie nastuchuje. Z wielkiej oddali doleciał poprzez mgłę ton ledwie dosłyszalny. Ale Karola słuchała. Jej ręka przestała gładzić czerwony pled i lekki rumieniec zabarwił jej policzki. - Słyszysz pan, pastorze? - spytała. - Tak, jakieś sanie. - Rast - powiedziała i uśmiechnęła się. Było niegodne i ośmieszające, że ten uśmiech tak go zabolął, powiedział sobie Werner. Rast wszedł, z wilgotną od mgły brodą, oczy miał pełne wyzywającego, świeżego blasku. Jego głośna mowa, jego śmiech obudziły cichy dom z uspienia. - Takie mgliste dni są zabójcze - oświadczył. - U mnie w domu cóż za melancholia! Człowiek aż się kurczy! Panie pastorze, w takie dni muszą duszyczki w pańskim ręku być miękkie jak wosk, kiedy pan mówi im o świetle. No, a światło przecież pojawia się w religii. Zdążył dużo przeżyć: wyliczone zostały polowania, konie. Ze swego niskiego stołeczka patrzyła ku niemu w górę Karola, kąciki jej ust były gotowe do uśmiechu. W amfiladzie rozbłyły lampy. Jakob przyniósł herbatę. Werland też stał się rozmowny, opowiadał o czasie "kiedy jeszcze miałem nogi. Przekomarzał się z Pichwitem, który zjawił się na herbatę i obserwował towarzystwo, niemy i wrogi. - Pisało się, co, Pichwit? Sine kręgi pod oczami to zawsze oznaka silnego lirycznego wzruszenia - baron chichocząc zamknął jedno oko. - Przejdźmy się,

baronowo - rzekł Rast. - Ilekroć widzę rząd oświetlonych pokojów, muszę się po nich przejść tam i z powrotem. Salon pani słyszy i tak za mało kroków. Karola i Rast zaczęli przechadzać się po jasnych pokojach, tam i z powrotem, ramię przy ramieniu. Karola, bardzo wysmukła w granatowej sukiennej szacie z długim, szpiczastym trenem. - Natychmiast w gorliwej rozmowie - mruknął Werland. Trzej pozostali mężczyźni przyglądali się przez drzwi parze w salonie, uważnie i w milczeniu, jakby to było widowisko, jakby czekali na coś, co ma się stać. - Pichwit - rzekł w końcu Werland - proszę się przejść do stołowego i zerknąć na barometr. Pichwit wstał posłusznie i wyszedł do przyległego pokoju. Werland zachichotał, pochylił się i wyszeptał: - Och ten pilnuje, jak pies! Werner nie od razu zrozumiał. - Kogo pilnuje? - Tych tam. - Ich? Werland dał znak, by mówić ciszej. - Coś panu powiem, pastorze. Kiedy zakochany jest Pichwit, to w porządku. Mnie to bawi. A pan... - Ja? - Mniejsza o to: nie mówmy o panu - mówił niecierpliwie Werland. - To wszystko nic; to jest kobiecie potrzebne. Ale ten tam - wskazał kciukiem salon - ten mnie niepokoi. Zna się na błękitnej krwi. Denerwuje mnie to. Werner poczuł, że blednie aż po wargi. To go rozgniewało. Spróbował odpowiedzieć łagodnie, lecz upominająco: - Ależ proszę pana, panie baronie, byłaby to bezpodstawna obraza dla pańskiej małżonki! - Ba, ba, kochany pastorze - przerwał Werland - oto i francuski dramat: mój panie, pan mi ubliża! - Przecież to naturalne - zastrzegł się Werner - że pani baronowa lubi gawędzić z baronem Rastem. Nie ma zbyt wielu rozrywek - chciał być ogromnie sprawiedliwy. - Nie musi pan nikogo usprawiedliwiać - zaszeptał Werland. - Wszystko rozwija się całkiem prawidłowo. Wszystko na świecie dzieje się w sposób naturalny. W cuda - ja nie wierzę. Rzecz zupełnie naturalna, że jak pan zostawi klatkę otwartą, to słowik z niej wyfrunie. Ale nie po to przecież pan go do klatki pakował. Werner zrobił obrażoną minę, obrażoną za Karolę. - Bóg panu dał, panie baronie, małżonkę o tak jasnym, czystym spojrzeniu, o tak spokojnej dobroci i

cierpliwości, że mówić tak to niewdzięczność! - Dzięki, pastorze, dzięki -
przerwał mu Werland. - Kazania są budujące, ale niczego nie dowodzą. Jasne
spojrzenie, powiada pan. Tak, ale właśnie najmądrzejsze kobiety są bezbronne
wobec niektórych nonsensów życia. Kobiety te w pewnych okolicznościach odrzucają
z rozkoszą na bok swój rozsądek tak, jakby rozpinały zaciasny stanik. Przerwał,
westchnął i znów podjął: - A Pichwit nie wraca. Nie: stoi w jadalni i
podśłuchuje. Och, jak on na nich uważa! Niech pan posłucha, pastorze: mówił pan
o czystym spojrzeniu, o cierpliwości i podobnych rzeczach, ma pan na myśli tak
zwaną cnotę. Panie z towarzystwa niechętnie używają tego wyrażenia, ale to o tym
pan myślał, cnotliwa małżonka, nieprawdaż? - To miałem na myśli - potwierdził
Werner. - Dlaczego pan chce dać sobie odebrać spokój i zatruć spokój pańskiej
małżonki? - Nie jestem zupełnie spokojny, to prawda - powiedział Werland. - I
może to głupie. Ktoś nie mający nóg powinien być spokojny. Ale cnota jest u
naszych kobiet sprawą schludności, wychowania w schludności, tak jak kąpiel i
dobre perfumy. Tylko że kąpiel i mydła Pinauda, i perfumy to są nawyki, których
trudniej jest się wyrzec aniżeli cnoty. Mówi się "namiętność" lub "miłość",
potem kobiety myślą, że to, co uważają za "nieczyste", stało się nagle świetną
rzeczą. Znam te historie, jestem teraz, jak się to mówi, obiektywny w tych
sprawach. - Jeżeli niepokoi to pana - zaczął Werner z pewnym trudem - czy
musi... Czy musi ten baron Rast przychodzić? - Cóż pan chce? - odparł Werland. -
Mam mu powiedzieć: Ty, Rast, nie przychodź, jestem zazdrosny? To by było coś dla
niego. Nie, pastorze, nóg wprowadzić nie mamy, ale mimo to nie będziemy się
ośmieszać. Toż nic się nie dzieje! Konwersacja! Pan jest pastorem. Przed panem
można się wyświadczać. Spowiednik to człowiek, któremu mogę opowiedzieć
najzabawniejsze rzeczy i któremu nie przystoi mnie wyśmiać. Przypuśćmy, że nic
nie mówiłem. Zajrzał przez drzwi do salonu. - Gdzie się pan zawieruszył, u
diabła! Pichwit! - zawołał. Pichwit zjawił się we drzwiach. - Barometr spada -

zameldował. - Gdzie są ci dwoje? - spytał Werland. Pichwit wzruszył ramionami. - Pani baronowa - mówił - chciała pokazać baronowi Rastowi stare skrzydło i pokój w wieży. Klucznica poszła z nimi, otworzyć. - Aha! Zainteresowania antykwarskie - stwierdził Werland. - A o czym rozmawiali przedtem? Pichwit uśmiechnął się wyniośle. - O ile słyszałem, baron opowiadał o kobietach malajskich. Werland zaśmiał się bezgłośnie: - Znane, stara technika, opowiada się o innych babach. Dobranoc, Pichwit, niech pan śpi dobrze. Kiedy Pichwit wyszedł, Werland zauważył: - Widzi pan, ten czuje coś, co zazwyczaj określa się jako miłość. No, ale dość. Mówmy o czym innym. Niech pan sobie nie wyobraża, pastorze, że ja się żalę, i że pan musi mi współczuć. - Miewamy niekiedy dziwne chwile rozterki. To przychodzi i nic nie możemy poradzić - Werner usiłował powiedzieć coś stosownego, ale i jemu samemu brzmiało to pustką i zakłamaniem. - Dzięki, dzięki - przerwał mu Werland. - Jak pan powiedział? Obowiązkowość? Przez malajskie kobiety i zainteresowanie pokojem w wieży moja noga poszła dziś jednak trochę w zapomnienie. No, ja nic nie mówię. Dostyc. Na żaden inny temat rozmowa im się nie udawała. Obaj mężczyźni patrzyli w amfiladę pokoi, nastuchiwali - czekali. Wreszcie usłyszeli głosy. Karola i Rast nadeszli. - Świetny stary pokój - mówił Rast - łoża o spleśniałych, zielonych zastonach z adamaszku i złote, w strzępach, tapety, jakież widmowoty tkwi w tym przepych. Niewiarygodne! Werland skinął: - Tak, tak. Ponoć było to skrzydło grzechów starych Werlandów. Dekoracyjne grzechy. Osiemnasty wiek miał niewiele temperamentu, przeto zmysłowość musiała stać się dekoracyjna. Zrobiło się późno. - Odwiozę pana, pastorze - rzekł Rast. - Dobranoc, Werland. Jeżeli będzie nadal tak mglisto, wprowadzę się do was, do starego skrzydła. - Do skrzydła grzechów - zaśmiał się Werland. - Tak. Tak - rzekł Rast. - W domu dostaje się gorączki od samotności. - Osobliwy dom - powiedział do Wenera, gdy razem sunęli przez mgłę. - Tak - odparł Werner chłodno - ten dom dźwiga niejedno brzemię. - Brzemię? - powtórzył Rast - no tak,

przez Werlanda. Każdy tam jakoś cierpi: Werland przez tę nogę, a piękna pani i upiórek_sekretarz są dziwacznie samotni. Ale to gorączkowa samotność; oni wszyscy płoną z samotności. To bardzo rozdrażnia i jest zaraźliwe. - Wprawdzie na tym domu leży ciężkie brzemie - rzekł Werner i sam się zirytował, że to tak namaszczenie zabrzmiało - lecz baronowa, dzięki swej dobroci i jasności, potrafi wprowadzić i tu harmonię. - Ofiara - rzekł Rast i trzasnął z bata. - A cóż może zrobić? Mężczyzna bez nóg. Wówczas wszystko obraca się w ofiarność. Znane zjawisko. Chemia zmysłów. - Aby zrozumieć tę kobietę - zauważył Werner, podrażniony - wystarczy jedna tylko formuła, a tą jest: najgłębsze poważanie. - Jestem tego samego zdania - odparł Rast. - Ale, panie pastorze, jesteśmy już u pana! Dobranoc. Lena już spała, policzki rozgrzane, między jasnymi brwiami mała, pionowa fałdka: drobny smutny znak, jaki zostawił jej samotny wieczór. Werner cicho położył się do łóżka. Obok Lena oddychała spokojnie i regularnie. Na dworze wilgoć kapłała z dachu - nieustanne, gorliwe szeptanie, tajemna, smutna historia, którą opowiada sobie noc. I w ciszy, w mrokach tej nocy znieścacka wynikło coś - u Wenera - w nim samym, coś obcego, czemu przyjrzał się prawie z ciekawością. A więc to jest tak, kiedy nienawidzimy. Był silny, był porywczy. Znał uczucie wściekłości, kiedy jak ogień wlewa się w żyły, i wyzwoleniem jest spuścić z rozmachem rękę na czyjś policzek. Ale to obecne doznanie było jakieś inne: świdrujące, nieprzerwane myślenie o jednym człowieku, z uczuciem obrzydzenia, z niemal fizycznym bólem. Myśli poczęły malować. Rast, blady i bezradny, w ręku Wenera. Rast upokorzony przed oczyma Karoli - ośmieszony, godzien pogardy. Dziecinne gry wyobraźni, przed którymi nie mógł się obronić. Wciąż to dręczące, gorące pragnienie, by zobaczyć Rasta cierpiącego, dręczące i natrętne, jak niezaspokojona żądza zmysłów. Tu miał przecież pocieszać ludzi, rozmawiać z ich duszami. Cóż my wiemy, co dzieje się w naszej własnej duszy. Nadchodzi coś obcego, włada nami, a my możemy się tylko przyglądać. - Czy musisz

teraz tak często jeździć do Dumala? - pytała Lena. - Tak, muszę - odpowiadał Werner autorytatywnym tonem. - Dlaczego? - Bo baron jest cierpiący i moja obecność go uspokaja. - Przecież i tak nie możesz mu pomóc. - Proszę cię - Werner stał się surowy - nie pouczaj mnie, co mam uważać za konieczne. - Tam mają przecież dosyć towarzystwa - upierała się Lena. - Jak to? - Ten baron Rast przecież raz po raz przejeżdża tędy. - To jego sprawa - odparł Werner. - Zdajesz się interesować tym, czy tędy przejeżdża. Teraz Lena zasłoniła twarz rękami i skarżyła się z płaczem. - Co ja mam robić? Jestem przecież zawsze sama. A teraz nawet już mi nie wolno patrzeć, kto tędy jedzie! Werner zdjął z gwoździa czapkę i poszedł. Płacząca kobieta tam w domu miała rację. A on - on udawał, że spełnia surowo i mądrze swój obowiązek, szedł zaś nieczystą drogą, widział to tak wyraźnie, jakby szedł nią ktoś inny, a on patrząc za nim zastanawiałby się, dokąd tamten trafi. Ale - do Dumala jechać musiał. Miał wrażenie, iż ważny posterunek jest nie obsadzony, kiedy nie siedział w pokoju kominkowym, w świetle zielonej lampy. Było zawsze tak samo. Karola roztargniona, zapatrzona marząco w ogień, nadśluchująca. A potem dźwięk dzwoneczków. - Ach, Rast! - mówiła. Nie ukrywała, jak wesoło działał na nią ten dźwięk. Podnosiła się, wyciągała ramionami dla niej gestem rozluźnienia, jak gdyby otrząsając z siebie senność tych godzin bez niego. Szła na spotkanie Rastowi, uśmiechnięta, z blaskiem w oczach. A on wchodził, napełniając pokój swym dźwięcznym głosem, swym beztroskim śmiechem, swym angielskim aromatem. Zapalono światła, na jego cześć stawało się odświętnie. Kiedy po herbacie Karola i Rast przechadzali się po salonie, przy kominku siedzieli Werland, Pichwit i Werner, w milczeniu i czujnie. Jeżeli mówili, to stłumionym głosem. Pichwit szedł do barometru i długo nie wracał. Werland szeptał i chichotał: - Zauważył pan, pastorze, im nigdy nie braknie tematu do konwersacji. - Tak, baron Rast jest bardzo zamujący - odpowiadał matowo Werner. - Boże - mówił Werland. - Wystarczy, że pan kilka razy powie

kobiecie: jestem bardzo interesujący, a ta już w to wierzy. Silny wiatr rozpędził mgłę. Gdy Werner szedł pod wieczór ze wsi, tam za lasem, nad okolicą rozpościerało się złote niebo. Skroś wilgotnej jedliny przeświecało dużo szczerozłotego światła. Werner poddawał się działaniu światła. Nie chciał myśleć, tylko chłonąć jasne, spokojne istnienie tego światła. Wtem usłyszał przed sobą, jak wilgotny śnieg skrzypi pod czyimiś krokami. Była to Karola. Ręce jej tkwiły głęboko w mufce, z pochyloną głową schodziła drogą powoli, w zamyśleniu. Oboje podnieśli wzrok równocześnie. Czy to zniecierpliwienie przemknęło po jej twarzy, zastanawiał się Werner. Ale zaraz znów była uśmiechnięta. - Ach, pastorze, jak ślicznie! - Tak samotna tutaj? - pytał Werner. - Sama! - odrzekła Karola. - Naturalnie! spacerowałam. Widzi pan, znów to piękne światło. Przypomina pan sobie, jak szliśmy ostatnim razem do domu w zorzy zachodu? To było piękne. - Tak, przecież to wcale nie tak dawno - zauważył Werner. - Nie? - powiedziała Karola. - Ach, wszystko przemyka tak prędko, jak obrazki latarni magicznej. Przez las doleciały dzwoneczki sań, oddalając się, słabnąc. - Tam ktoś jedzie - rzekł Werner nasłuchując. - Tak, on odjeżdża - odrzekła spokojnie Karola. Oboje umilkli. - Pan jest dobry, jak sądzę - rzekła Karola nagle, spośród zamyślenia. Werner uśmiechnął się. - Dlaczego jestem dobry? - Bo pan - stwierdziła - chroni, jak myślę, tych, których pan kocha? Pan jest spokojny i mocny. - Ja? Karola patrzyła w zachodzące słońce, zastanawiając się. - Myślę, że zajmowanie się rzeczami wiecznymi czyni łagodnym. Wieczne - to brzmi, jakby się wszystko skończyło, i tylko spokój - wielki spokój. Tak, ci, których pan kocha, są bezpieczni. - To, to chyba przecież - zaczął Werner, a jego głos brzmiał trochę niepewnie - przecież to chyba najpiękniejsze dla każdego: chronić to, co się kocha. Karola skinęła głową. - Tak... tak. Ale to dobrze, kiedy miłość jest silna i spokojna. Światło wieczoru rozlało się znów jaskrawo nad równiną, kiedy wyszli z lasu i skręcili w długą aleję. - Dlaczego

pani mówi o chronieniu? - spytał Werner. - Czy mogę... czy pani chce być chroniona? - brzmiało to wahająco i niezręcznie. - Ja? - roześmiała się Karola.

- Mój Boże! ja jestem strasznie bezpieczna. Po czym wskazała na cienie obojga, leżące przed nimi na śniegu. - A te cienie? Czy się zmieniły? Werner pokręcił głową. Nie, nie, pani ma cień zupełnie lekki i swobodny. Nie ma pani talentu do ukrywania, droga pani! Karola uśmiechnęła się dziwnie wyniosłym uśmiechem, jakiego nie widział u niej jeszcze, i rzekła tonem, który mu się nie spodobał: -

A po cóż by? Rozstali się przy końcu alei. - Do widzenia, pastorze, pan przyjdzie przecież do nas - mówiła, podając mu rękę. - Cóż pan robi za dziwne oczy? Ach, to pewnie ten zachód słońca: kiedy odbija się w oczach, spojrzenie staje się zupełnie dzikie. Ja jestem spokojny i silny, myślał Werner w drodze do domu, a ona jest całkiem bezpieczna i nie ma nic do ukrywania... Tak się kroczy miło o pięknym zachodzie słońca, a jedno drugiemu po przyjacielsku kładzie na sercu swoje kłamstwa. Gajowy Erman był u Wenera. Boże! jak ten człowiek wyglądał! Obdarty, w swoich łapciach z łyka, w źle zacerowanych spodniach, a do tego smutna, pijacka twarz. Także dzisiaj był lekko podchmielony. Werner zawezwał go do siebie, żeby go srogo upomnieć. Jego żona skarżyła się nań nieustannie. - Wstyd i hańba! - huknął na niego. - Czy tak wygląda dworski leśniczy? Nawet butów nie masz przez to chłanie, żona i dzieci głodują. - Tak, tak, to grzech - zawtórował płacźliwie Erman. - Co zrobić! - Nie upijać się! - krzyknął na niego Werner. - Nie upijać się! Nie upijać się - powtórzył Erman - kto to potrafi! Co się ma oprócz tego? - Nawet teraz jesteś pijany - mówił Werner. - Myślisz, że baron Rast zechce trzymać takiego gałgana jako leśniczego?

- Ach, baron, ten! - Erman uśmiechnął się chytrze. - Co to ma znaczyć? - Z nim też jakieś nieczyste sprawy. - Co ty tam gadasz? - Ten człowiek był pijany. Powinienem go wyrzucić, myślał Werner, ale go nie odsyłał, milczał i czekał, co tamten powie. Erman się zastanawiał, spoglądał zapłniętymi, wodnistymi oczyma

na sufit, powoli zbierał myśli. - Więc to było tak, panie pastarze - zaczął. -
Że to zające teraz tak zalegają, kłusownicy ganiają w ostatnich czasach za nimi,
hycie jedne. No, więc myślę sobie, popatrzę. Wstaję i idę na rewir. Było tak
koło pierwszej. I jakem doszedł do Mostu Wisielca, myślę sobie: usiądę, wypalę
fajkę. Tak siedzę i palę, i patrzę przed siebie, aż widzę: przez most biegnie
ślad: świeży ślad sani. Deski były białe od szronu i - ten ślad. Ktoś tędy
jechał, patrzajcie! Od strony Sielen w stronę Dumala! To może być tylko diabeł.
Siedzę i myślę: musiało mu się spieszyć, żeby najkrótszą drogą dojechać do
Dumala. I rzeczywiście coś jedzie od strony Dumala małą drogą pod górę. Jedzie
cicho, cicho, bez dzwoneczków, wielki czarny koń i sanki, a w nich baron z
Sielen, tylko broda powiewa. Przy nim mały sługa, taka mała ropucha, i mocno
śpi. Tak jadą prosto na most i do góry, i konia batem, i przez most jak
błyskawica, i dalej po małej drodze - do zamku w Sielen. Czy to był baron - czy
to był diabeł. Jedzie przez Most Wisielca! - Pijany drabie! - powiedział Werner
chrypliwie. - Cóżś ty tam widział! - Bardzo wyraźnie, panie pastarze -
opowiadał Erman dalej. - To samo mówiłem sobie nazajutrz rano. No, więc
następnej nocy idę tam o tej samej porze, siedzę tam i palę, i czekam. Tak, i
znowu coś jedzie małą drogą do Dumala pod górę. I kary koń, i czarny pan siedzi
w sankach, broda powiewa, a mały sługa śpi. Wszystko było widać jak na dłoni. I
znowu pod górę przez Most Wisielca. I znowu przez Most Wisielca. Sługa się nie
przebudził, a deski trzaskają, aż mi się we łbie zakręciło, no i przejechali, i
znikli. To jakaś nieczysta sprawa: z tym czarnym baronem. Przez Most Wisielca, o
Boże! - Po pierwszej w nocy? - zapytał Werner. - Tak, będzie coś koło tego chyba
- przytaknął Erman. Werner stał przez chwilę w milczeniu bardzo blady,
przygryzając dolną wargę. - Tak przez te przegniłe deski - opowiadał Erman
dalej. - Na dole bulgoce woda. Może to widmo, myślę, pójdiesz, myślę, i
popatrzysz na ślad. Widma nie mają śladu. I rzeczywiście, wyraźny ślad sań.

Biegnie, biegnie po małej drodze, zbiega do Dumala, aż do tylnej furty w sztachetach sadu - i do środka. Furta była zamknięta, alem już wiedział, gdzie on był. A co tam miał do roboty, to już nie moja rzecz. Ależ się jemu spieszy! Przez przegniłe deski! Werner słuchał w zupełnym milczeniu. - Przez te przegniłe deski - powtórzył Erman niepewnie. Wydało mu się niesamowite, że pastor siedzi taki milczący i blady. - Ty przeklęty pijaku! - zagrzmał nagle i zrywając się chwycił przerażonego Ermana za kurtkę na piersiach, zaczął nim potrząsać, jak tobołkiem łachmanów: - Co ty tu wygadujesz? Czy jestem błaznem, że mi tu opowiadasz swoje pijackie bajdy? Swoje przeklęte pijackie przywidzenia? - i potrząsając nim, podniósł go w górę, najchętniej cisnąłby nim o ścianę, pogruchotał wszystkie kości... wtem puścił go z nagłą, odwrócił się. - Odejdź! - powiedział. Erman lamentował cichutko: - Ach, Bożyczku, Bożyczku! Com ja zawinił? Dla mnie może sobie czarny baron kark skręcić na moście! Biedny człowiek pije wódkę... To grzech, powiada pastor. A panowie mają swoje sprawy. Więc jak kto ma oczy, nieraz coś zobaczy... co ja na to poradzę? - i tak bąkając wysunął się powoli z pokoju. Werner przesiedział nieporuszenie długie godziny popołudnia w fotelu za biurkiem. Przed nim leżała otwarta książka rachunkowa. Słońce zachodziło. Po ścianie przesuwały się czerwone światła przedwieczne. Karty księgi spurpurowiały. Broda Wernera zapłonęła czerwono_żłoto. Barwy pobladły stopniowo, światła zgasły. Zmierzch opadł na przedmioty na kształt drobnutkiego popielatego deszczu. Lena kręciła się tam i na powrót po mieszkaniu. Zapachniało kawą. Lena wsunęła głowę do gabinetu: - Przyjdiesz? - spytała. - Nie, wypij kawę sama - odparł Werner. - Ja tu muszę skończyć robotę. I przez wszystek ten czas była w nim tylko jedna myśl, drążąca, monotonna, samoistnie się powtarzająca: "Pewność - jak możesz zdobyć pewność?" Myśl ta bolała, jakby miał już tę pewność: gniewny, głuchy ból, w którym uczestniczyło całe jego wielkie ciało, jakby coś, co do niego należało, wyrwano mu siłą. Rast

przerwał ostatnio swoje wieczorne odwiedziny w Dumala. Rzekłbyś, że i Karola przestała go oczekiwać, nie nasłuchiwała już dzwonięcia sań. Teraz Werner sobie to przepowiadał. A więc: przez Most Wisielca - prostą drogą w park Dumala - do tylnej furtki - a potem - potem... - Siedzisz po ciemku, mój biedny! - Lena zajrzała ponownie do gabinetu. Werner ocknął się ze swych myśli: - Tak, ja, ja... o czymś myślałem. - Mam przynieść lampę? - Nie nie, ja przyjdę do kominka. Tęsknił teraz do światła, do przytulności, do szczebiotu Leny, może wówczas rozluźni się to wytężone, męczące myślenie wciąż o jednym. Siedział przy kominku, zmęczony jak po długim marszu. - Mów, opowiadaj - powiedział do Leny. - Byłaś u doktorostwa? Tak, Lena była u doktorostwa. Dzieci chorowały. Dziewczynka miała zapalenie gardła, maleństwo ząbkowało. - Tak? Doprawdy? - usiłował zainteresować się tym wszystkim. - Doktor Braun przyjechał tam z Debschen: baronowa miała atak artretyzmu. - Tak, tak to idzie dalej - wymamrotał Werner. Myślami był znów na drodze z Mostu Wisielca do parku w Dumala - i tam - spotkała go wielka krzywdą. - Czemu masz teraz tyle roboty? - usłyszał pytanie Leny. - Ja. No, wiesz przecież, pod koniec roku kościelnego tak bywa - odparł - będę musiał jeszcze zarwać spory kawał nocy. - Te nieznośne rachunki! - westchnęła Lena. Wieczór minął Wernerowi właściwie jak we śnie. Lena była wesola i rozmowna, z czego wynioskował, że sam wywiera wrażenie pogodne. Lena cieszyła się podczas wieczerzy, że mu smakuje, tedy zdawało się, że jadł z apetytem. Później wrócił do swego pokoju, aby pracować. Oparł głowę na dłoni i patrzył w księgę rachunkową. Wiedział już, że musi iść, że musi stać tam, koło mostu i przy ogrodzeniu parkowym. Teraz czekał, aż ta godzina nadejdzie. Nasłuchiwał, jak ucichło w domu, jak wybiły zegary. Przyszła Lena, dała się ucałować w czoło. - Dużo masz jeszcze pracy, mój biedaku? - spytała. - Ujdzie jakoś - odpowiedział przyjaźnie. - Dobrej nocy! Poczł niepokój. Zbliżył się do okna. Noc była jasna od gwiazd. Ostry wiatr północny sunął po równinie. Teraz Werner nie mógł już

wytrzymać w pokoju, przy lampie. Czuł się tak, jakby mógł nie zdążyć na coś ważnego. Po cichutku nałożył swoje futro, nasadził czapkę na głowę i wykradł się z domu. Na dworze przystanął, namyślając się przez chwilę. Był zupełnie spokojny. Napętniała go niezłomna wola. Układał swój plan, niczym myśliwy, okrążający zwierzynę. Sanie musiały nadjechać przez szkótkę jodłową. Tam mógł i on, zasłonięty niskimi drzewkami, dotrzeć drogą od Mostu Wisielca aż do parkowych sztachet. Ruszył w drogę, spoglądał na wygwieżdżone niebo, podziwiając migotanie. Jakież pracowite jest to światło, ani chwili spokoju! Na całym niebie to gorliwie złociste poruszenie. Młode jodły pachniały gorzko_ożywczo, przejeżdżając po policzku Wenera okrytymi szronem szpilkami na kształt drobnutkich zimnych pazurów. Lis pobiegł drogą, z nisko spuszczonego łbem: szukał jakiegoś tropu, który być może zgubił. Bez lęku minął Wenera, aż ten musiał się zaśmiać. "Drapieżcy spotykający się w lesie", przebiegło mu przez głowę. W marszu niemal zapomniał, czemu się tu znalazł. Dobrze było pod gwiazdnymi niebiosami, pośród milczących drzew i zwierząt stać tak, jak jedno z nich: bez odpowiedzialności i bez myśli. Ujrzał teraz Most Wisielca przed sobą i bardzo wysoko, nad ciemną otchłanią wisały ośnieżone deski - jasne pasmo na tle całej tej czerni. No, tak, tędy przejechać - to najkrótsza ze wszystkich droga do Dumala, pomyślał. Rzeczywiście, po jasnym pasmie sunęło coś niby ciemniejszy cień, potem jak misterna czarna zabawka - koń, sanki. Bezszelestnie przemknęły nad przepaścią. Już są pośrodku mostu, szybując jak w powietrzu - teraz musi - musi - utonąć. Wenerowi wydało się, iż mógłby swoim życzeniem, swoją wolą sprawić, by misterna, czarna zabawka utonęła. Jego wola szarpała zmurszałe deski, by je połamać. Sanie przejechały. Coś jakby wielkie rozczarowanie legło ciężarem na sercu Wenera. Sanie zbliżyły się, słyszał tętent stłumiony przez mięki śnieg. Schowany za gęstym żywopłotem młodych jodełek, wyrzwał, kiedy ów pojazd go mijał. Wyraźnie zobaczył Rasta, z atramentowo czarną, rozwianą brodą.

Powozil, trzymajac cygaro w zebach. Przy nim Damkewitz, groom, stwor dziwaczny, wzrostu dziesiecioletniego chlopca ze zwietrzala twarza dziecka, pomarszczona i jakby uwedzona. Rast cmokal jezykiem, popedzajac konia, i wielki czarny klusak poteznie rwal naprzod. Juz znikneli. Zapach cygara mieszal sie z cierpkim aromatem jodek. Werner poszedl droga, ktora przejechały sanie, bez wyraźnych myśli, machinalnie, troche znuzony, jak bywa, kiedy ustapi wielkie napiecie; szedl, by wypelnic program, jaki byl sobie planowal. Tu juz zagajnik jodlowy - sad - szkotka dębowa - tu - ogrodzenie. Spröbowal otworzyc furtke - ustapila. Za drzewami, niby za gesta, biala kratka widnial zamek: duza, czarna masa. Kiedy Werner podchodzil, uslyszal gdzieś tupniecie kopyta. Rozejrzal sie. Tak, tam w niewielkiej szopie, sluzacej latem do przechowywania wszelkich narzedzi ogrodniczych, staly sanki z karym koniem. W saniach, caly owiniete w futrzane dery, siedzial Damkewitz i spal. Jak sie wszystko zgadza, pomyslal Werner. Przez moment poczul zadowolenie rachmistrza, ktoremu zaskakujaco dobrze wypadlo zadanie. Podszedl do wysokiego zywoplotu bzow naprzeciwko starego skrzydla i wiezy, stanal tam, patrzac na ciemny budynek. Nigdzie ani swiatełka. Strzeglo swych tajemnic to "skrzydlo grzechu", jak je nazywal Werland! Ani znaku zycia. Ale gdy Werner stal wsröd bialych galezi zywoplotu zapatrzony w wieze, wydawalo mu sie, ze widzi, co sie tam wewnatrz dzieje, widzi z nieznośna dokladnoscia, jak ona, taka smukla i biala, chyli sie z blyszczacych oczami wstecz, w jego ramiona, ma czerwone spieczone usta o lekko rozchylonych wargach. Werner zanurzyl reke w osniezone galezki, by ja ochlodzic, schwycil je, potamal, niech trzeszcza: musial poczuc, ze niszczy cos i lamie. Ciemnosc w milczacym domu byla bezgraniczna męka. Gdzie oni sa? Gdyby mogl dostrzec choc skraweczek swiatla! - Tam na lewo w wiezy. Jedna stora jest zasunieta - uslyszal szept obok siebie. Obejrzal sie. Przy nim stal Pichwit. W blasku gwiazd jego twarz, oczy, wargi zdawaly sie jednakowego koloru popielatej bladosci. Trzasl sie z zimna i wsadzil

ręce głęboko w kieszenie. - Gdzie? - rzekł Werner. Nie dziwił się, że widzi Pichwita koło siebie. Rzekłbyś, czekał na to. - Na lewo, panie pastorze - powiedział dwornie Pichwit. - Proszę się mocno wpatrzeć w lewe okno wieży. Na brzegu zasłony zobaczy pan słaby paseczek światła. - Tak, tak, widzę. - To pokój w wieży, gdzie stoi stare pozłacane łóżko - objaśniał Pichwit. Następnie milczeli obaj; stali przy sobie, patrząc na wąty paseczek światła w oknie wieży. Słyszeli wzajem swe ciężkie oddechy, a oprócz tego cichy, głuchy ton, jakby ktoś szedł powoli po miękkim śniegu. Było to bicie własnego serca. Zegar zamkowy zazgrzytał, jakby odkaszlnął - i wybił drugą. - Teraz - szepnął Pichwit. W dolnym oknie wieży zbudził się poblask, zniknął i ukazał się niżej. - Schodzą po schodach - objaśniał Pichwit. Cicho zatrzeszczało. Ukazało się światło we drzwiach wieży. Pani Wandel, stara klucznica, trzymała i osłaniała ręką świecę. Jej cierpliwa twarz przełożonej pensji, pod czarnym koronkowym czepeczkiem, była przez moment jasno oświetlona. Za nią stali ci dwoje. Cienie obu głów, bardzo blisko siebie, padały na mur. Wreszcie szeroka postać Rasta przecisnęła się przez drzwi. - Dobranoc - rzekła uroczyście pani Wandel. - Niech pani śpi dobrze, matko Wandel! - odpowiedział Rast. Drzwi się zamknęły. Światło znów zaczęło się podnosić w wieży. Rast minął z bliska żywoptot bżów. Pogwizdywał niegłośno, zapalił papierosa. Zapałka jaskrawo oświetliła jego twarz: lśniąca brodę, duże piwne, aksamitne oczy. Przedszedł. Pichwit i Werner słuchali. Doleciał ich zgrzyt skobla, szmer sunących sań, ostrożne zamknięcie bramy. - Odjechał - szepnął Pichwit. I oto Werner stał ze zdobytą pewnością, do której był tęsknił, stał i czuł się zupełnie bezsilny, zupełnie osłabły, zupełnie biedny. Mógłby się rozbeczeć, jak sztubak. - Chodźmy, panie pastorze - powiedział Pichwit, dotykając jego ramienia. Poszli alejkami parku, gdzie posągi spały w swych drewnianych domkach, a róże, spowite grubo w mech, tkwiły na grządkach. Pichwit opowiadał półgłosem, biadającym tonem, który chwilami

załamywał się dziwnie, jak gdyby śmiech czy łkanie odbierało mu pewność. - To się dzieje mniej więcej może od tygodnia. Pan wie: on już nie przychodził wieczorami. A ona znów rozcierała baronowi nogę. Baron stał się spokojny. Od razu wiedziałem, że coś w tym jest: czułem to. Czasami śpiewała, gdy była sama. W dzień lubiła kłaść się na szeslongu i podłożywszy ręce pod głowę uśmiechała się. I nie czekała już na niego wieczorem. Szukałem i szukałem... i pewnej nocy nie mogłem spać, i wszedłem tu, do parku. I już wiedziałem - przerwał na moment, po czym zapytał: - Co pan robi, panie pastorze? - Ja? - odparł Werner. - A cóż ja mogę zrobić? - Owszem! Zrobi pan coś - powiedział Pichwit. - Bo ja... ja nic nie mogę. Chciałem iść do niego i wyzwąć na pojedynek. Sądzę, że mógłbym go zastrzelić, sądzą, że byłoby mi to dane. Ale kimże ja jestem? Zwymyślałby mnie. Z Pichwita śmieją się przecież. Byłaby to dla niego jedna anegdota więcej. Poza tym ja... mnie nie wolno: ona zabroniła! - Zabroniła? Ona? - powtórzył zdumiony Werner. - Tak, tak - potwierdził Pichwit. - Mówiłem jej dobranoc. Wtedy podała mi rękę i powiedziała, powiedziała cicho, żeby inni nie usłyszeli: "Pan Pichwit to mój wierny paż. Na nim mogę polegać!" - więc rozumie pan pastor, że nic nie mogę zrobić. Gdyby zechciała, żebym tu stał na warcie, podczas kiedy on jest na górze, aby im nikt nie przeszkodził, musiałbym to spełnić. Ale pan, panie pastorze - pan! - Ach, ja! - rzekł Werner ze znużeniem. Ale Pichwit się uparł. - Pan jest duży, pan jest silny, pan jest piękny. Ach! Byłem taki zazdrosny o pana. Widziałem, jak ona się cieszyła, kiedy pan przychodził, i widziałem, jak patrzyliście sobie w oczy, tak, ja to widziałem. Byłem bardzo nieszczęśliwy z tego powodu. Ale teraz - teraz musi ją pan ocalić. On nie może jej mieć: jest nikczemny, podły. Wiem, czuję to. Co pan uczyni, panie pastorze? Werner otrząsnął się z ciężkiego, koszmarnego odrętwienia, które go gniołło. - Pichwit! - rzekł surowo - co pan też wygaduje? Pan jest chory. Mówi pan, jak w malignie. Proszę iść i położyć się do łóżka. Rozchoruje się pan od stania tu na mrozie. -

O tym już także myślałem - odparł Pichwit. - O czym? - Żeby zachorować. Jeżeli będę chory, śmiertelnie, wie pan, wtenczas ona przyjdzie do mnie: na pewno to zrobi! Wtedy wszystko jej powiem. Umierających bierze się serio: rosną w ludzkich oczach. Prawda? Konający nie jest śmieszny. Jego słowa są wysłuchiwane. Zdarzało się już, iż słowo umierającego ratowało żyjącego... - Dziecko, śnisz na jawie - przerwał mu Werner. - Proszę iść, położyć się, ciepło się okryć - i - bez nieostrożności. Werner położył rękę na ramieniu Pichwita i tak przemawiał do niego po ojcowsku. Pichwit oparł głowę o jego ramię, płacząc. - No, no - mówił Werner jak do dziecka - proszę wziąć się w garść! To nic nie pomoże. Proszę już iść. Dobranoc. Pichwit wyprostował się, otarł łzy z oczu, i Werner niespodzianie zobaczył, że się uśmiecha: ujrzał na wybladłej twarzy wyniosły, pełen wyższości uśmiech. - Dobranoc, panie pastorze - powiedział. - Ja wiem, że pan, coś zrobi. - Z tymi słowy znikł za białym żywoplotem. Werner poszedł do domu. Spać chciał, leżeć i zapomnieć. Nic poza tym. Obudziwszy się nazajutrz miał uczucie, że stoi przed nim zadanie, trudna robota. - Co to było? "Pan coś zrobi", zabrzmiał mu w uszach wzburzony głos Pichwita. To było to. Dzień był jasny, plebania pełna żółtego słonecznego blasku. Lena - różana i rozmowna. Podczas gdy Werner pił poranną herbatę, śmiali się oboje z jakichś drobnych zdarzeń. Poszedł do swoich zadań. Przyszli ludzie. Upominał ich i gromił, był ojcowski i jowialny. Wszystko szło gładko, tylko wydawało mu się jakieś ulotne, przejściowe. Czekąco go zadanie; reszta była tylko zabijaniem czasu. Nie rozmyślał o tym; wystrzegał się przed zostawieniem sobie czasu do namysłu o tym, co go czeka i czyha na niego. Po południu kazał zaprzęgać, aby pojechać do zamku Sielen. Czynił to pastor Werner, spełniający swój obowiązek, nie zaś niedorzeczny, niepojęty mężczyzna, który wczoraj w potężnym parku w Dumala stał godzinami, wypatrując z bolesnym pożądaniem wątlej wstążeczki światła w górze, na wieży. Pastor Werner jechał do Behrenta von Rasta, by spełnić obowiązek: powinność urzędową i powinność

przyjaźni. Jadąc tam w jaskrawym świetle popołudnia, nie myślał, co powie ani też co uczyni. Skoro to obowiązek służbowy, musi tu zjawić się samorzutnie. W Sielen przyjął go ów groom, Damkewitz. Karzeł, ubrany w rzucającą się w oczy liberię, w barwach Rastów, żółto_niebieską, pokrytą herbowymi guzami, wyglądał jak dziwaczna mała małpka. Prowadząc Wenera przez pokoje mówił wysokim, falsetowym głosem; jaki mewają czasem stare kobiety. - Pan baron się ucieszy. Pan baron jest sam i czas mu się dłuży. Będzie mu miło, że ma trochę towarzystwa. Werner zastał Rasta w dużym pokoju mocno przegrzanym przez potężny ogień na kominku. Wszędzie leżały lub wisały kobierce. Baron, owinięty w burnus z białego sukna, leżał na kanapie i palił. - Pastor, to ślicznie! A więc jednak pamięta pan o samotnych! - zawołał na przywitaniu. - Właśnie, pozwoliłem sobie... - Świetnie! - przerwał Rast. - Niech pan pastor siada. Co? Za blisko ognia? Widzi pan, a ja zawsze marznę. Te stare gniazda rodzinne są tak budowane, jakby rodziny miały się możliwie jak najdłużej konserwować przez zimno. Ale kiedy rodziny chylą się ku upadkowi, przestają bodaj tak dobrze znosić taką temperaturę, i niszczej, niczym dobre bordeaux - roześmiał się głośno z tej swojej uwagi, a Werner grzecznie śmiał się z nim razem. - Może likieru? - spytał Rast i nalał do kieliszka z połączanej butelki płynu różowej barwy. - Nie? to wschodni wynalazek: likier różany z prawdziwych róż. Trochę słodki, tak. Piję go w zimne dni, bo wówczas ma smak destylowanych upalnych dni lipcowych. Ale niechże pan weźmie cygaro! Rast był rozmowny, jak ludzie, co spędzili samotnie dzień i chcą wykorzystać chwilę, gdy mają kogoś, kto ich słucha. - TAK, musi pan palić w imię sprawiedliwości. Podczas rozmowy jest niesprawiedliwe, gdy pali tylko jeden, bo przez to drugi ma za duży udział w rozmowie. Widzi pan, kiedy obaj palą, i jednemu kończy się cygaro, wie się od razu, że ten zagarnął zbyt wielką część rozmowy. - Otóż, panie baronie - uśmiechnął się Werner - w tym przypadku chciałem ja także raczej coś zakomunikować, aniżeli liczyć na

odpowieź. - Ach, to co innego! - rzekł Rast. Opierał się o kominek. Znad białego burnusa wzniesiona głowa była bardzo ciemna i dość potężna: śniada, piękna twarz, lśniące czarne płomienie bokobrodów po obu stronach podbródka z miękkim doteczkiem; wielkie, brązowe oczy o wilgotnym, sennym wejrzeniu. "Tak, potężny - myślał Werner, obserwując go z niemąłą odrazą i zwlekając z przemową - tacy powinni mieć, jak byki rozplodowe, pierścień przez nozdrza i być przykuci łańcuchem w ciemnym kącie obory, skąd by ich wyprowadzano tylko w razie potrzeby." - Otóż sprawa jest taka - rozpoczął Werner, słysząc, że jego głos brzmi łagodnie i po pastorsku: - pan baron wie, że z racji mego urzędu mam sporo do czynienia z okolicznym chłopstwem i słyszę, co ci ludzie mówią. Wreszcie pastorat to przecież jakiś rodzaj odbiornika dla plotek krążących po gminie. Otóż jedna pogłoska wpadła mi w ucho, i uważałem za obowiązek zakomunikować ją panu, panie baronie, albowiem - albowiem mogła by ona skompromitować pewną damę. Jako się rzekło, ponieważ to pana dotyczy, poczytywałem sobie za obowiązek zakomunikować ją panu. - Ach! - rzekł Rast, patrząc na swe cygaro. - Bardzo ciekawe! A o cóż idzie? Jakkolwiek lekko były wypowiedziane te słowa, Wernerowi zdawało się, iż dosłyszał w chłodnym, nieco szyderczym tonie coś na kształt wyzwania, które go ucieszyło, dodało mu animuszu. - Myślę, że wdawać się w bliższe okoliczności nie potrzeba - odparł. - Idzie o... o nocne przejażdżki, które spostrzeżono i wysłedzono aż do celu, i... wyciągnięto wnioski, które mogłyby zaszkodzić damie. Starał się mówić jasno i rzeczowo. - I pan - rzekł Rast, wciąż jeszcze w tonie pogawędki - uznał za swoją powinność powiedzieć mi o tym? - Tak. - Jako obowiązek pastorski, naturalnie? Odpowiadając Werner podniósł trochę głos: - Tak, jako pastor, oczywiście, i jako człowiek honoru, i jako przyjaciel dotkniętej rodziny. Rast zaprzeczył dłonią i powiedział prosząco: - Nie, panie pastorze, nie wszystko razem. Zostańmy przy pastorze. Jako pastor, proszę. - Jako co pan chce! - huknął teraz Werner dość brutalnie. - Widzi pan -

podjął Rast - bo z tym człowiekiem honoru... każdy zakłada z góry u drugiego, że tamten wie, jak postępuje człowiek honoru. Z pewnością inaczej byłaby to obelga. Ale lepiej nie wnikać tu w szczegóły. Gdyż wtedy łatwo powstają różnice poglądów. A przyjaciel? Mój Boże, uczucia komplikują tylko sprawy. Ale pastor? Pastor - to jasne. Pan jest, jako pastor, zobowiązany do mieszania się w cudze sprawy, to jest pański oficjalny obowiązek, może przykry, ale spełnia go pan. Godne głębokiego szacunku! - Tu nie idzie o mnie - odparł porywczo Werner. - Idzie o to, że pewna dama... - Ach, proszę - przerwał łagodnie Rast. - Owszem, idzie o pana. Pan spełnia swój obowiązek. Jako pastorowi nie idzie panu o pewnego określonego człowieka, o pewną określoną damę: panu idzie przecież, abstrakcyjnie, o jakąś reputację - cnotę, grzech - prawda? To pana zawód: nie dopuścić do uwłaczania reputacji, do upadku cnoty, do popełnienia grzechu. Pan nie ma w tym żadnego osobistego interesu. Pan wykonuje swój zawód i jedynie dlatego, panie pastorze, może pan to czynić, może pan mówić i czynić tu rzeczy, których by kto inny nie mógł. - Nie powołuję się na swój urząd - powiedział Werner. - Mówię jak mężczyzna do mężczyzny. - O nie! - odparł Rast. - Pan przychodzi jako pastor: upominać, a nie żądać zadośćuczynienia. - Przeciwnie! - przerwał mu Werner. - Ja chcę żądać zadośćuczynienia! Rast wzruszył ramionami. - To niemożliwe, panie pastorze. Pan chce ratować cnotę. Pan chce, jak to się mówi, spełniać dobry uczynek. Pan nie chce odpowiedzi czy objaśnień. W pańskich kazaniach także zadaje pan niekiedy pytania, ale przecież nie chce pan odpowiedzi: odpowiadać byłoby zuchwałością. Tak samo tutaj. Pan chce czynić dobrze, pan chce upominać, pan nie chce ode mnie odpowiedzi, już przedtem pan to powiedział. Rozumiem pana doskonale. Werner podniósł się z krzesła. Zawrzał gniewem. Skronie mu płonęły. - Panie baronie - rzekł uroczyście - widzę, że dzieje się coś niesłychanego i mam się spokojnie przyglądać. Czyżbym nie miał prawa w to wkroczyć? Rast patrzył nań w zamyśleniu swymi aksamitnymi oczami. -

Ależ, niechże pan usiądzie, panie pastorze! Niesłusznie się pan tak podnieca.

Pan powinien był jednak wziąć cygaro. Bismarck powiada, że cygaro czyni rozmowę spokojną. Ja przecież uznaję pańskie prawo do interwencji, jako pastora. Pan wspomniał o czymś niesłychanym, lepiej może unikać tu dokładniejszej krytyki... gwoli obiektywizmu. - Powtarzam - zawołał Werner gwałtownie. - Żądam tu rachunku. Rast się uśmiechnął. - Ależ panie pastorze. Czy pan chce bić się ze mną? To przecież nie wypada. Czy nie wyglądałoby to, jakby pan miał w tej sprawie interes albo prawo? Nie, nigdy nie zapomnę, kogo mam przed sobą! - A ja... ja - powiedział ochryple Werner - nie powinienem chyba zapominać, że się znajduję w pańskim domu. Rast zaprzeczył dłonią. - O, proszę nie przykładać do tego wagi; mój dom jest do pana dyspozycji. Przykro mi, panie pastorze, iż widzę pana nieco zdenerwowanym i niezupełnie zadowolonym! Obawiam się, że nie jestem panu sympatyczny, żałuję tego... Werner odzyskał naraz zupełny spokój. Nawet się uśmiechnął. - Sympatyczny? Nie. Ale nie przyszedłem tu, aby się oświadczyć. - Ma się rozumieć! - przyznał Rast i również się uśmiechnął. - Myślę sobie tylko, czemu jest pan ze mnie niezadowolony? Przybywa pan do mnie, by mi coś zakomunikować, by mi udzielić napomnienia. Dobrze! przyjmuję z wdzięcznością wiadomość. Upomnienie będę, jak powiada Biblia: "obracał w sercu swoim". Więcej nie może pan pastor ode mnie żądać. Sama sprawa nie nadaje się do omawiania. To naturalnie jest i pana zdanie. Ale pańska misja, panie pastorze, pańską misję można określić jako całkowicie udaną. - Pan ma rację - rzekł Werner cicho i ze znużeniem - tedy mogę już odejść. - Pan chce już odejść? - zawołał Rast, jakby go to zaskoczyło. - To szkoda. Tak miło się gawędzi w takie zimne dni. Ale chyba nie mogę zatrzymać pana. Dwaj mężczyźni podali sobie ręce, i Werner zdał sobie przy tym sprawę z faktu, że jest niemal o głowę wyższy od Rasta i że - gdyby teraz podniósł ramię i spuścił pięść na głowę stojącego przed nim - ten leżałby przed nim na dywanie. - A zatem bardzo dziękuję - rzekł Rast - do

widzenia! Odprowadził Wenera aż do drzwi i pomachał mu z uśmiechem. W drodze do domu Werner nie mógł się pozbyć myśli, jaka brzydka i nienaturalna jest owa tak zwana kultura. Dwaj się nienawidzą. Czyż nie pięknie schwyć się w pasie, cisnąć wzajem rozgorączkowane ciała, dyszeć sobie w twarze wrzącym oddechem i próbować sprawić drugiemu ból... zranić go, jak robią to parobcy w szynku? Zamiast tego podają sobie rękę, uśmiechają się: "Bardzo dziękuję! Do widzenia!"

Tfu! Nadszedł adwent. Lena siedziała wieczorami przy fortepianie, śpiewając chorały. Werner odprawiał nabożeństwa popołudniowe, podczas gdy zachodzące słońce jaśniało skroś witraży i malowało na czerwono twarze ludzi. Albo odwiedzał szkoły. Gr̃ov - gorączkowe czerwone rumieńce na chudych policzkach, zaognione oczy - stał przy pulpicie i przemawiał do gromadki dzieci wysokim, wzburzoną głosem. Zimowe słońce jasno świeciło na płowe dziecięce głowy. Dziecinne głosy, zachrypnięte od krzykliwej zabawy na dworze, wypowiadały monotonna a rytmicznie wersety, w których była mowa o wielkich cudach i wielkich tajemnicach; oczy jasne i pełne niepojętych pobożnych uczuć. Werner zawsze lubił ten czas, kiedy wielkie misteria przybierały charakter rodzinnej zażyłości, kiedy kobiety, dziewczęta i dzieci czuły się w rzeczach wieczystych jak we własnym domu, jak w swoich izbach. Wszędzie w powietrzu było coś z cudu.

Także teraz pastor Werner załatwiał spokojnie swe sprawy urzędowe, umiał być pobożnie skupiony oraz wesoły. Ale obok pastora Wenera szedł ktoś inny. Krył się, ale był: ktoś obcy, niesamowity, nieunikniony. Kiedy wieczorami Werner siadywał przy lampie naprzeciw Leny, słuchając jej szczebiotu o spokojnych drobnych sprawach, zdarzało się, że wykrzykiwała nagle: - Co ci jest? - Mnie? Nic. Dlaczego? - Miałaś taką minę, jakby cię coś bolało! Werner śmiał się: - Co ty sobie tam roisz! Tylko, kiedy w domu ucichło, kiedy siedział w swym gabinecie, wówczas przychodził tamten - drugi - niezmiennie; niezawodny. Werner nasłuchiwał uderzeń zegara, czekał z tępą uległością. Wybiła dwunasta. Wstawał,

wkładał futro, brał laskę i wychodził, punktualnie jak za powszednimi interesami. I przekradając się po cichu ku drzwiom wejściowym, myślał mimo woli o słowach z ewangelii Świętego Jana, która mówi o Judaszu: "On więc, wzięwszy kawałek chleba, natychmiast wyszedł, a była noc." Nocny świat o tej porze był mu teraz dobrze znany. Kiedy niekiedy niebo było pogodne i wygwieżdżone, to znów wiatr północny wpadał między drzewa, szumiąc dziko, jakby powierzał starym sosnom przejmujące nowiny. Albo mgła gęsta, porozwieszana po okolicy, szeptała i kapała w gałęziach. Werner znał ciemne zarysy każdego drzewa, koło którego musiał przechodzić, znał cichutkie stąpanie zwierzyny w gęstych chaszczach. Czuł własną przynalżność do nich wszystkich dokoła: byli to współwtajemniczeni. Przez zagajnik wchodził w głąb lasu, szedł, aż ujrzał wąską białą kreskę nad przepaścią. Tam siadał na pniaku w gęstwinie - i czekał. Kiedy coś zaszeleściło blisko, wiedział, że to lis wybrał się na łowy. Nie odstraszała go nieruchoma postać siedząca na pniu. Przyzwyczaił się do niej. Zauważył może, iż ten drapieźca, tak spokojnie leżący na czatach, nie wchodzi mu w drogę. Werner czekał cierpliwie, aż nadjadą: sanie - kary koń - spiesznie, bezszelestnie. Prześlizgiwali się po białej kresce, przelatywali nad przepaścią - byli już po drugiej stronie - i znikali. Werner zapalał papierosa, palił i czekał do chwili, gdy sanie wracały, szybowwały przez moment nad otchłanią i znikały. Aby to zobaczyć - owo szybowanie - przychodził każdej nocy. Było to mgnienie straszliwego napięcia. Teraz - teraz oto musi ta delikatna czarna wizja na białej kresce zniknąć w otchłani. Biblia jest tak pełna cudów. Czego tylko nie dokonywali tam ludzie za pomocą swej woli! Sprawiali, że zmarli zmartwychwstawali, żywi padali trupem. Czyż nie zdołałby potęgą swej woli doprowadzić do załamania się jednej z tych zmurszałych desek? Tylko jedna deska, i... Często, kiedy sanie już go minęły, wstawał ze swego pniaka, wchodził na most, ostrożnie, uważnie: oglądał starannie każdą deskę, dotykał ich ręką - ta

była całkiem zmurszała, tamta leżała tylko luźno na wierzchu, tu była szczelina. To się musi kiedyś zdarzyć. Gdyby ktoś jedną z tych desek przypadkowo stopą czy ręką posunął... schwycił go lekki zawrót głowy. Musiał na mgnienie zamknąć oczy. Potem wrócił na swoje miejsce. "Gdyby ktoś przypadkiem jedną z tych desek stopą albo ręką posunął", odrzmięło w nim monotannie, uparcie, na kształt bezsensownego refrenu, a wokół szeptały jodełki "po_ssu_nął, possunął" i w górze stare jodły wtórowały im głośno, majestatycznie: "Possu_nął_po_ssunął": cały las myślał tylko o tym. Po wszystkim, gdy sanie przejechały z powrotem, Werner szedł wówczas do domu; zwiotczały wszystkim, ze zmęczonym, pustym sercem. Rzucił się na łóżko i zasypiał ciężkim snem, jak po ciężkiej, nie dającej radości pracy.

Werner był w małej szkółce, tam za lasem, a teraz szedł powoli do domu. Było to około południa. W nocy napadało śniegu, a teraz słońce stapało go w kroplisty deszcz z gałęzi. Las pełen był trzepotu i ptasiego wołania. Sikorki toczyły się po gałęziach niby małe kulki. W ośnieżonym krzaku leszczyny rozsiadło się towarzystwo gilów, niczym duże, czerwone owoce. To było wesołe. Wernerowi brzmiały jeszcze w uszach pieśni, które właśnie słyszał był od dzieci. "Tyle światłości, że nie można już nic rozróżnić" - powiedziała kiedyś Karola. Tak sobie wyobrażała tamten świat. Tak było: tak musiała wyglądać religia dla biednych i uciśnionych - światłość nie taka, co ukazuje i odsłania, lecz taka, która otula, która rozpościera się jak jaśniejący woal nad szarym życiem. Z wąskiej dróżki leśnej skręcił w niewielką polankę i - cicho się cofnął. Jak wizja był ten widok. Biało ośnieżona polana, dokoła białe ściany lasu, nad tym zaś światło słońca: żółta mgła świetlna nad wierzchołkami. Po środku polanki stały sanie z karym koniem; w saniach stał Rast, wyprostowany, broda jego migotała od kropel, przed nim stała Karola. Odchyliwszy w tył głowę patrzyła ku niemu w górę i śmiała się całą twarzą. Wyciągnęła ramiona. - Podnieś mnie! - powiedziała. Schylił się ku niej, porwał i uniósł wysoko, ku słońcu. Karola

wydała cichy okrzyk i poruszyła ramionami jak skrzydłami. - Tak, tak, dobrze! - wołała. Odpowiedziała sółka swym głośnym, natrętnym wołaniem, jakby musiała zakomunikować to całemu lasowi. Werner widział szybującą w żółtej świetlistej mgle Karolę, widział, jak twarz jej poważnieje, rozchylają się wargi, zamykają oczy jak porażone przemożnym uczuciem. Rast z wolna opuścił ramiona, złożył lotną postać na swej szerokiej piersi, pochylił się ku niej i całował tę twarz z zamkniętymi oczami. Następnie posadził Karolę w saniach. - Odjeżdżamy! - rzekł. - Odjeżdżamy! - powtórzyła wesoło Karola; pozwoliła się usadowić, opatulić, bezwolna jak rzecz - jak jego rzecz. - Hej! - huknął na konia Rast, i wjechali we wszystką tę biel zarośli. Głośno, lekkomyślnie, bezwstydnie rozdzwoniły się dzwoneczki na cały las. Dlaczego, myślał Werner, ta kobieta musiała wejść mu w krew tak strasznie głęboko? Czym jest dla niego? Czym mogłaby dlań być? Mimo to drżało w nim każde włókienko, każdy nerw jego ciała. Ciało to czuło się oszukane i okradzione. Stał oto, ukryty w krzakach, i formalnie głodny tej kobiety, głodny jak jeszcze nigdy w życiu niczego i nikogo. A ten duży, brutalny mężczyzna mógł stać w słońcu i brać ją niby swoją własność, swój przedmiot. Po co istnieje taki marny trwoniciel życia? Aby swoją nieczystą dłońią brać, kraść to, co dla innych świętością? Co jest dla innych najgłębszą walką ducha? Szkodliwe, niepotrzebne, drapieżne zwierzę, na które należałoby zastawiać sidła jak na lisa! Oto czym jest ten Rast! W domu był Werner pogodny, żartował z Leną, z Tiją, prawie rozswawolony, albo próbował być taki... Czuł, że musi jak gdyby pod tą wesołością coś ukryć - przed Leną, przed Tiją - przed sobą samym. Sam nie wiedział, co to było. Po południu przyszedł doktor Braun. Siedział przy kominku i opowiadał. Z baronem w Dumala rzeczy stały dość marnie... Przysparzał doktorowi troski. Serce osłabione i bóle. Powinien by pan przyjść: to kazał panu powiedzieć. Już nawet złorzeczył. "Lekarz i pastor za to dostają pensję, aby odwiedzali chorych - mówił - od dyrektora banku nie wymagam tego. Co sobie

właściwie myśli ten Werner!" Tak, jest w nie najlepszym nastroju. A ta biedna kobieta! Siedzi przy nim, znosi każdy kaprys, istna święta! - Istna święta! - powtórzył Werner. - I proszę tylko pomyśleć! - doktor zaczerwienił się z oburzenia: - Stara z Debschen powiada, to nieprawdopodobne!, że słyszała plotki, pogłoski, od tej Triny, czy świniarek, powiada, mówił, skąd można wiedzieć!, o tej kobiecie i baronie Rascie: o spotkaniach słyszała, bzdury, oszczercy! Powiedziałem starej: kto tę kobietę zaczepi, będzie miał ze mną do czynienia. Z nami obydwoma, co, pastarze? No, już ja pokażę tej starej z Debschen. - Doktor roześmiał się z pogroźką, szeroko otwierając usta. - Tak, doktorze, ma pan słuszność! - przytaknął mu Werner. To uspokoiło doktora. - No, więc! Teraz idę do domu. O dziewiątej walę się spać. Moja żona czyta mi gazetę: przy tym się świetnie zasypia. Sybaryta, co? Ale dwie noce z rzędu pomagałem dzieciom wydostać się na świat. Ci smarkacze zawsze ostatnio przychodzą na świat w nocy. Też zły obyczaj, niesolidność. - Roześmiał się bardzo głośno z tej swojej uwagi. Werner przyglądał mu się z namysłem. Ten jest szczęśliwy! Zadowolony z siebie, robi swoje i zażywa wypoczynku. Żadne mroki go nie dręczą, żadne trudne, niepojęte zadanie. Wieczór minął spokojnie, przytulnie. W nocy Werner punktualnie wyruszył w drogę, na swój posterunek. Nie roztrząsał już tego. Po co? I tak wiedział, że o określonej godzinie znajdzie się w lesie. Noc była bezwietrzna. Padał śnieg. Jego białe opadanie sączyło w noc bladą poświatę. Wszyscy nocni towarzysze Wenera milczeli dzisiaj. Stali w bezruchu, pozwalając się przykryć białym płątkom. Werner także siedział nieruchomo na swoim pieńku i dawał się przykryć. Ciągły ruch padającego śniegu wprowadził go w senność, ukotysał w półsen na jawie. Nasunęły się obrazy z bardzo dalekiego dzieciństwa. Izdebka wdowy Werner. Mały Erwin leżący w łóżku. Lampa stała na oknie. W jej świetle dziecko mogło zobaczyć, jak na dworze, za szybą, przelatują wielkie płatki śniegu... Matka smętnym głosem utyskiwała przed sąsiadką na ciężkie czasy. Mowa

była wciąż o markach i fenigach. Dziecko przysłuchiwało się temu niby w kotysance. Marka i fenigi wydawały mu się czymś smutnym, o czym można opowiadać bez końca niezliczone historie. A śnieżynki przybywały z mroku, odchodziły w ciemność, na mgnienie oświetlone lampą, zajrzawszy skroś szyby do pokoju. Mały Erwin próbował zrozumieć nie kończącą się historię o markach i fenigach, usiłował liczyć płatki, przeciągające za oknem, dopóki powieki nie opadły mu na oczy. Cichy szmer kazał mu podnieść wzrok. Sanie Rasta były już w połowie mostu. Rast powiedział coś, a karzeł odpowiedział swoim zduszonym głosem starej baby, rozespany, jakby sunął po chłopskiej szosie. Już byli po drugiej stronie - rzeczywiście - po drugiej stronie - i zniknęli. Werner patrzył na most ze zdumieniem. Był jakoś przekonany, że to musi stać się dziś, i tak mocno tego oczekiwał, że poczuł się uspokojony: dzisiaj zobaczy, jak sanie znikają pośrodku mostu, a tymczasem... Zamyślił się. Nie było to rozważanie, ale naprężone, skupione nasłuchiwanie głosu wewnętrznego. Co się stanie? Trzeba wejść na most... musi tam wejść. Dobrze! Wspiął się na most. Wilgotny śnieg sprawił, że deski były śliskie. Musiał dobrze uważać. Teraz stanął nad przepaścią. Woda w dole była dziś niema. Pewnie pokryła ją cienka warstwa lodu. Werner pochylił się i dotykał desek. Ta leżała zupełnie oderwana i była całkiem zbutwiała. Werner chciał ją rozchwiać, leżała jednak mocniej, niż się spodziewał. Wytężył siły. Tak, teraz ustąpiła, dała się odsunąć, rozhuścić - spadła. W dole trzasnęła cienka powłoka lodowa, zbulgotała woda. Teraz dość tylko potrącić inne deski nogą - a też pospadają. Werner kopnął je i znów lód trzasnął na dole, zapluskana woda pośród tej ciszy - hałas nie do wytrzymania, jak się Wernerowi zdawało. Rozwarł się przed nim wielki, czarny otwór, stanął nad nim i zajrzał w głąb. Ciężki bezwład znużenia zmiękczył mu wszystkie członki, odebrał wszystkie siły. Najchętniej sam dałby się zsunąć w ten czarny dół. Plusk wody, krótki gulgot - i głęboka cisza, która rozpostarłaby się nad nim, chłodna i dobroczynna. Wycofał

się ostrożnie i znów siadł na swym pniaku. Zapalił papierosa i w świetle zapałki zerknął na zegarek. Przeleciało mu przez myśl, że padający śnieg zatrze każdy ślad. Pomyślał o swoim dzisiejszym porannym spacerze. Jak daleki, jakże obcy wydał mu się tamten Werner, co w szkolnej klasie kładł po ojcowsku rękę na jasnych dziecięcych głowach i śpiewał z dziećmi "Z Niebieskiego Dwora". Tak; takiemu spokojnemu pastorowi to dopiero dobrze! Nieskończenie powoli mijały dziś godziny, męczyło napięte wytężenie słuchu. Każdy dźwięk: osunięcie się śniegu z gałęzi, upadek szyszki, pęknięcie warstewki lodu na wodzie w dole, wszystko tak przerażająco w nim odbzmiewało. Ale oto już było rzeczywiste: głucho uderzenia kopyt na śniegu. Werner wstał. Cały był straszliwie naprężoną uwagą. Usiłował widzieć przez padający śnieg, usiłował zmierzyć uchem odległość przebywaną przez zbliżające się sanie. - Teraz są przy starej jodle - teraz widzi łeb konia, jest chyba tuż przy moście... Werner wyszedł z ukrycia. - Stój! - coś w nim krzyknęło. Rast wstrzymał konia i stanął. - Kto to? - zapytał. - Proszę nie jechać dalej! - rzekł Werner. - Ale dlaczego? - Bo most się załamał, tam, pośrodku! Rast cofnął konia o kilka kroków, po czym wysiadł. - Załamał, mówi pan? Skąd pan wie? - Wiem! - rzucił Werner niecierpliwie. - Hm, dzięki! - Rast brnął po śniegu ku Wernerowi. - Ach, to pan pastor! Tak też mi się zdawało, że poznaję głos pana. - Most się załamał pośrodku - objaśniał Werner rzeczowym tonem. - Pan wpadłby tam bezwarunkowo! - No, to znów miałem szczęście - powiedział śmiejąc się Rast. - A pan, pan dlatego tu jest? - Ja... ja tu byłem. - Obejrzyjmy sobie tę szkodę - rzekł Rast i, wszedłszy na most, stanął nad otworem. Werner patrzył za nim. Mógłby odejść. Nie miał tu już nic do roboty. Ale nie odchodził: stał odrętwiały, bez jednej myśli. Rast wrócił. - Dziwne! - mówił. - Jak to się mogło stać? Pan, oczywiście, nie wie? Nie, jakże by pan mógł. Przybliżył głowę tuż do twarzy Wenera. Werner dostrzegł wśród czarnej brody błysk białych zębów. Czyżby Rast się śmiał? - Ale chodźmy, pastarze -

mówił troskliwie - proszę usiąść w saniach. Pewnie pan zmarzył! Nie, nie, żadnych protestów! Jestem panu winien wielką wdzięczność! Pan jest, jak to się mówi, moim zbawcą! Wcisnął Wenera w sanie i starannie okrył. Ten nie protestował. Legła na nim paraliżująca bezwolność, niczym w złym śnie, kiedy musimy poddawać się bez oporu mętnym wydarzeniom sennym. Rast chwycił cugle, zawrócił i wjechał w las. W czasie jazdy uprzejmie zabawił Wenera. - Dostatecznie przegniłe było tam wszystko: oczekiwałem od dawna, że się zawali. Za każdym razem, kiedy jechałem tamtędy, czułem przyjemne małe napięcie. Jestem graczem, przyzwyczajonym mieć szczęście, a ponieważ tu nie ma banku, most miał go zastąpić. Wie pan, kiedy człowiek przyzwyczai się mieć szczęście, lubi powiększać stawkę. Bądź co bądź dziwne, że mógł się tak pośrodku załamać, jakby ktoś poodrywał deski. To dziwne. Tak gawędził dalej, nie pytał, jak też Werner znalazł się w lesie, skąd mógł wiedzieć o załamaniu się mostu. Rozmawiał o pogodzie. Ten przekłety wilgotny śnieg włożył człowiekowi w ubranie i marzło się aż do kości. Sanie stanęły. Była to właśnie oberża. - Proszę wysiąść, panie pastorze! - rzekł Rast. - Musimy się troszkę zagrzać, inaczej mamy obaj gotowe przeziębienie. I trzeba wypić za ocalenie życia. Hej, Jost! Karl! Oberżysta zjawił się spieszenie. Jego ponurą twarz rozjaśniał służalczy uśmiech. - Ach, to pan baron! - Tak, tak! Damkewitz, trzeba wytrzeć konia. I każcie sobie podać grogu! No! Werner wszedł za Rastem do szynku, z senną bezwolnością, z której się nie mógł otrząsnąć. Całe jego podniecenie zacichło, pozostało w nim żywe jedynie coś na kształt ciekawości; ciekawości, jak ten okropny sen potoczy się dalej. W pokoju dla panów zapalono lampę, rozpalono ogień na kominku. - A teraz szampana grzeszników - zarządził Rast. - Pewien biedny Żyd, mianowicie, ukrył raz tutaj, u Josta, szampana, aby przy sposobności przemycić go za granicę. No i tego Żyda schwyciła straż graniczna, a nasz Jost sprzedaje tego szampana zaufanym klientom. Tak to idzie w życiu. Ale, pastorze, pan zmarzył, pan jest aż biały z

zimna! Proszę usiąść bliżej ognia. Tak! Teraz może tu jeszcze być całkiem przytulnie. Oberżysta wniósł wino. Rast nalał szklanki do pełna. - Tak. Tu jest dużo lepiej, niż leżeć tam na dole, w tej czarnej głębi... - zauważył. - Swoją drogą, to osobliwe uczucie, że się tak stało tuż nad tym czarnym otworem... tylko parę kroków, a potem ta wielka zimna bryja! Brrrr! A tymczasem człowiek siedzi sobie w miłym towarzystwie, grzeje się i popija Jostowego szampana grzeszników. Podniósł swoją szklankę. - Zdrowie! Proszę się ze mną trącić! Pańskie zdrowie, mój zbawco! - Zdrowie - odrzekł Werner i szybko wypił do dna. - Dobre to wino - zauważył i podstawił pustą szklankę Rastowi. - Tak, to dobrze robi! - rzekł Rast. - O, słusznie! - dodał, zauważywszy, że Werner wychylił duszkiem i drugą. Jego piękne, aksamitne oczy spoczywały przyjaźnie i z upodobaniem na Wernerze. - Smakowało? Już lepiej? - pytał troskliwie. - To rozgrzewa - odparł Werner i uśmiechnął się znużony. - No, więc! - Rast najwyraźniej odczuł znaczną ulgę, ujrawszy, że Werner się uśmiecha. - Wie pan, pastorze, z pana wspaniały człowiek. Wiedziałem to od razu, kiedy zobaczyłem pana. Jeszcze powiedziałem do - do jednej pani: Ten pastor Werner musi mieć powodzenie u kobiet; gdybym ja był kobietą... - U jednej kobiety. - Naturalnie - przerwał Rast - małżonki pana. Miałem już przyjemność. Urocza dama. Nie, doprawdy, pastorze. Pan był, że tak powiem, moją nieszczęśliwą miłością, gdyż niestety jestem panu niemiły, jak pan powiedział zeszłego wieczoru. Nie ma rady! A jednak cieszy mnie, że to właśnie pan mnie uratował. Zdrowie, zbawco! - Ach, proszę zostawić tego zbawcę! - rzekł gniewnie Werner. - Dlaczego? - pytał Rast. - Dla pana może oznacza to niewiele, ale dla mnie to ważne! Gdzie byłbym teraz, gdyby nie pan? Strach pomyśleć! Kiedy sobie to uprzytamniam, dostaję wręcz zawrotu głowy. Zdrowie! Hej, Jost, butelkę! Pili szybko, Werner czuł, jak wino idzie mu do głowy, jak przedmioty i zdarzenia zatracają rzeczowość i rzeczywistość. On sam i Rast, i pokój z czerwoną zastonką na małym oknie, wielki

ogień w piecu, Marri na wpół nago krzątająca się po pokoju w swej rozpustnej tuszy - wszystko to było jak widziadło, które niebawem zniknie. - A jednak to szczególne - usłyszał mówiącego z namysłem Rasta - w samym środku. Przecież jechałem tamtędy przed paru godzinami... Czy tak samo z siebie...? - Było dostatecznie zmurszałe - usłyszał Werner własne słowa. - Z pewnością - przyznał Rast. - Proszę powiedzieć, pastorze, czy może ktoś przejeżdżał tamtędy - i... - Ach, nie! - rzekł Werner. - Tak nie. Rast zastanawiał się, po czym przysunął się bliżej do Wernera mówiąc poufnie: - Proszę posłuchać, pastorze, zbawco, mogę panu powiedzieć: często kiedy jechałem tamtędy, przychodziło mi na myśl, że to by dobra była okazja dla kogoś, komu byłbym niewygodny. Parę desek wyjąć, zostawić inne tak na samym brzegu - czysta pułapka na myszy! I jużem w dole. Nikt się temu nie dziwi. Każdy oczekiwał tego, że kiedyś kark skręcę! Tak, to byłaby sposobność, co? - A któżby to mógł być? - spytał Werner, uważnie patrząc na Rasta. Jak on się podkrada, myślał. Bawiło go, gdy widział, jak ten człowiek ostrożnie go okrąża. - Tak tylko sobie myślę - ciągnął Rast - zadanie musiało być niełatwe. Niech pan tylko pomyśli: stać na śliskich deskach - i pracować. To musiało być niełatwe! - I nie mógł mieć zawrotów głowy - wtrącił Werner. - Tak, na pewno - przyznał Rast. - I jeden czy drugi gwóźdź musiał tkwić jeszcze od dołu w deskach; i ta największa deska... - Bardzo spróchniała - wtrącił Werner. - Wszystko jedno - rzekł Rast - niezły kawał robory. Podziwiam. Czy ten, który gdzieś tam stał w krzakach, czekał, aż wpadnę w pułapkę? Jak pan sądzi? Na jego miejscu poczekałbym, aż... aż się rozlegnie plusk tam, na dole. To by mnie ucieszyło, gdybym to ja tego pragnął. Czy on tam był? Pan nic nie zauważył? - Rast wziął swoją szklankę i pijąc powoli, patrzył nad jej brzegiem na Wernera swymi sentymentalnymi oczyma. - Nie widział go pan? - powtórzył z cicha. - Kogo? - spytał Werner również cicho. - No, tego, który to zrobił - rzekł Rast. Werner milczał przez chwilę, oparł ramiona o stół i patrzył w ogień. - Owszem - rzekł

wreszcie powoli ku tym płomieniom. - On tam był. Rast podniósł nieco brwi, jak przy lekkim zdziwieniu: - Och, doprawdy? - Tak, on czekał - mówił Werner - on czekał. Ja czekałem. Coś niby szyderstwo zabrzmiało w głosie, szyderstwo z tego, którego przejrano. Rast trwał w swej skupionej pozie, powiedział tylko: - Tak, naturalnie, wiedziałem o tym. Obydwaj mężczyźni milczeli, wsparci ramionami ciężko o stół, jak ludzie, którzy są znużeni. Patrzyli w ogień na palenisku.

Nagle Rast wyprostował się, sięgnął po swoją szklankę. - Zdrowie, pastorze. Zdrowie, zbawco! Naturalnie, wiedziałem to. Pańskie zdrowie! W tych okolicach jest pan jedyny, którego na coś podobnego stać. Tam do kaduka! Zasadzka, jak na wilka. Panie! Ależ pan umie porządnie nienawidzić! Ale do końca, do samego końca także pan nie mógł. - Nie - odparł Werner jakby w zamyśleniu. - To się stać nie mogło: "Pan nie dał mi ciebie do rąk moich." Rast uśmiechnął się swym miłym uśmiechem. - Szkoda, teoretycznie szkoda: "oddał do rąk moich" - to coś ze Starego Testamentu, prawda? Rzeczywiście sprawa ma w sobie jakąś biblijność: Młodzieniec na rany moje, dziewica za moje wrzody...? mniej więcej tak mówi też któryś ze starych bohaterów. Prawda? Ale, przepraszam, jeszcze jedno pytanie, czy panu teraz żal, że nie mógł pan doprowadzić tego do końca? Wolałby pan, żebym leżał tam, na dnie, aniżeli żebym tu siedział, pijąc szampana, nie? Werner podniósł się z krzesła i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, założywszy ręce na plecach, jak to miał we zwyczaju. Chciał się otrząsnąć z tego dziwnego sennego odrętwienia. Potem przystanął przed Rastem i rzekł spokojnie i głośno: - Baronie. Z tym, co panu powiedziałem, może pan zrobić, co pan zechce. Może daje to panu jakieś prawo nade mną. Ale odmawiam panu prawa do wypytywania mnie i mieszania się w to, jak mój postępek i ja rozprawiamy się między sobą... - Ależ, kochany pastorze - przerwał mu Rast - mam nadzieję, że nie uraziłem pana. Ma pan słuszność, nietaktowne było z mojej strony, że zadawałem te pytania. Może pan być spokojny, to się więcej nie powtórzy, z całą pewnością. Na rozmowę z

pytaniem jesteśmy obaj za dobrze wychowani. Poza tym mówi pan o jakimś postępku. Nie ma tu postępku, załedwie może widmo postępku. A prawo? Jakież prawo mógłbym sobie rościć? Jestem wdzięczny za pana zwierzenie, bardzo mnie to zainteresowało. Jeżeli mogę nawzajem wyświadczyć panu przysługę, będę bardzo rad. Werner stał jeszcze, patrząc w dół, na Rasta. Nagle przez twarz jego przeleciał dziwnie wyniosły uśmiech. - Pan jest dowcipny, baronie - powiedział - i pan czuje teraz wielką wyższość nade mną. Ale, widzi pan, cokolwiek się stało, dla mnie mój uczynek jest mimo wszystko godniejszy niż pańskie czyny. Pan nie ma nade mną wyższości. Rast porwał się z miejsca. - Pański uczynek, którego pan nie uczynił - zawołał szyderczo. - To moja sprawa - odparł Werner. Rast zrobił ręką lekki gest ubolewania. - Dajmy temu spokój. Szkoda. Można się było serdeczniej rozstać. Zatem bądź zdrow, panie pastorze, wielkie dzięki za ocalenie mi życia, i za ciekawy wieczór. Jako się rzekło - szkoda, że, kiedy zaczyna się robić przyjemnie, wchodzi w drogę pastor. Werner skłonił się w swój uroczyście skrzępowany sposób i wyszedł. Na dworze widniał już bladożółty pas światła na horyzoncie. Nad świeżym śniegiem wschodził dzień, bardzo biały i czysty. - Czy skończyłeś już te głupie rachunki? - pytała Lena. - Nie przesypiasz teraz ani jednej nocy! - Tak. Skończyłem - odpowiedział Werner i wcisnął się głębiej w fotel przy kominku. - No to zaśpiewaj znowu - prosiła Lena. - Nie, nie mogę śpiewać. - No to opowiedz coś. - Nie - rzekł Werner. - Opowiedz ty, dziecino. Coś, co znam, jak będąc dziećmi przychodziliście do dziadka i w starym ogrodzie leżeliście w krzakach porzeczek, i jedliście nagrzone słońcem ich gronka. - Stare historie - wtrąciła Lena. - Tak, stare, spokojne historie. Lena posłusznie opowiadała; Werner przysłuchiwał się melodii jej miłego, jasnego głosu. Myśli jego wędrowały po własnej drodze; drogą nawyku. Przeżywał ciche wieczory w Dumala. Widział, jak zapalają się oczy Karoli, drganie jej warg; słyszał wymawiane przez nią słowa, ton jej głosu. Było to

pełne spokoju wspomnianie, jak wspominamy tę, którąśmy utracili. Wszystko inne zdawało się wygaste. Noc w lesie nie miała żadnego związku z jego życiem: należała do niego wprawdzie, powtarzał sobie, a przecież nie umiał jej sobie przyswoić. Życie toczyło się dalej, jakby nie wiedziało nic o tym jego czynie. Czym jest postępek, który nie mści się na nas, nie przypomina o sobie? - Tylko nocą, we śnie, stał niekiedy na wąskiej kładce i coś spadało do wody, i woda tryskała w górę, czarna jak atrament, i ział przed nim ciemny otwór. Wtedy budził się - śmiertelnie znużony, jakby zaszczyty snem. Z Rastem spotkał się pewnego popołudnia w Debschen u baronowej Huhn. Rast przywitał go bardzo serdecznie, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi. - Ach, pastor! Jak to miło, żeśmy się znowu spotkali! Obydwaj wysłuchali cierpliwie historii o służbie baronowej. Kiedy odjeżdżali, kazał Rast, by jego sanie pojechały trochę przodem. Słońce zachodziło tak ślicznie, chciał się więc przejść parę kroków. Werner przystał na to w milczeniu, jak zwykliśmy znosić przez uprzejmość coś uciążliwego. Szli obaj panowie aleją topolową, ramię przy ramieniu. Rast mówił o obojętnych rzeczach. - Dzięki Bogu, jest mroźno, to dobre dla polowania. Szkoda, że pan przestał polować, pastorze. Polowanie jest przecież jedyną prawdziwą przyjemnością na tym pustkowiu. Może to dziecinna rozrywka, prymitywna. Chowamy się i cieszymy, że jesteśmy mądrzejsi niż lis czy sarna. Nie nazbyt to ambitne! Ale zastawianie sidła mamy we krwi wszyscy, a ponieważ okazje po temu są coraz rzadsze... Nasi praojcowie byli przecież wszyscy wytrawnymi łowcami, nieprawdaż? - Zęby zabłyśły mu pośród zarostu, w szerokim uśmiechu. Werner grzecznie zaśmiał się również. - Tak, tak! Być może. Rozstali się uściskiem dłoni. Werner zastał w domu list od barona Werlanda. Ten robił mu wyrzuty z powodu długiej nieobecności. "Spowiednik - pisał baron - nie ma prawa porzucać penitenta, nawet jeżeli ten spowiada się przed nim z najnudniejszych historii! Więc niech pan przyjdzie!" Werner dziwił się, jak gdyby oczekiwał czego innego, odnajdując

Dumala tak, jak zawsze je widywał: głęboki półmrok w pokoju kominkowym, dyskretną, pomarszczoną twarz starego Jakoba, zieloną lampę. Werland, otulony czerwonym pledem, siedział przy kominku, oczy patrzyły niespokojnie z głębokich oczodołów. - No, duszpasterzu - zawołał - nie ucieknie mi pan! Proszę usiąść! Proszę usiąść! Tylko bez usprawiedliwień! Tak, jakby pan wczoraj tu był! Karola siedziała na swym stołeczku, masując nogę swego małżonka. Skinęła Wernerowi tak, jakby go rzeczywiście dopiero co widziała, i rozpoczęła się dość opieszala rozmowa, jak bywa u ludzi, którzy widują się zbyt często, by mieć sobie wiele nowego do zakomunikowania. Werland chwilami zamykał oczy, wpadał w lekką drzemkę, z której otrząsał się raptownie, aby coś powiedzieć. - A jak tam z duszpasterstwem, pastorze? - Och, dziękuję, jakoś idzie! - odparł Werner. - Tak! Dziwaczny interes! - zauważył Werland. - Musi być trudna taka buchalteria. Bilans: tyle a tyle dusz plus - tyle minus. Werner śmiał się. - Tak, to trudne, wobec kapitału, który jeszcze cyrkuluje. Ten wielki bank, tam w górze, już to później... - Nasz stary temat! - przerwał mu Werland. - Ale ja się już nad tym nie zastanawiam. Przekonamy się. - Znow zamknął oczy, Karola była milcząca, masowała nogę Werlanda i patrzyła w ogień. Werner obserwował tę twarz. Szukał w niej czegoś nowego, czegoś obcego, czegoś, co by zdradziło.... Ale rysy miały jak zwykle swą jasną czystość, oczy zaś - swe marzące, tajemnicze światło. Nic nie było zmienione, nie miało w sobie śladu tamtej Karoli, która na leśnej polanie kazała podnosić się ku słońcu. Niepokoiło to Wenera, byłby chciał znaleźć coś, co sprawi, że ta kobieta będzie dlań obca i godna pogardy, a oto patrzył w twarz, napełniającą go niemądrym, chłopięco_rzewnym uczuciem. - Most Wisielca Rast kazał zburzyć - odezwał się Werland. - Tak, najwyższy czas! - odparł z roztargnieniem Werner. - O jedną sposobność mniej, żeby się wynieść z tego świata - mówił Werland. - Ale chyba nie ma pan samobójców wśród swoich owieczek, co? - Nie, dzięki Bogu. - Tutejsi ludzie - ciągnął Werland - są jak

pospólstwo, co rzadko bywa w teatrze. Jeżeli raz zapłacili za bilet, to już siedzą do końca, chociażby sztukę napisał jakiś tępak, a oni musieliby tylko poziewać i złościć się. Wszyscy tak zresztą robimy. - Tak przecież wypada - wtrącił Werner. - Umieć się nudzić jest przecież w dobrym tonie! - Tu znów ma pan słuszność, pastorze - przyznał Werland. - Widać to w naszej sferze.

Potworne, jest, ile możemy wytrzymać w dziedzinie nudy, a możliwe jedynie dzięki odwiecznemu zaprawianiu nas do nudów; czy nie jest tak, dziecińo? - O tak!

Umiemy to! - rzekła, i twarz jej rozjaśniła się na moment ślicznym figlarnym śmiechem. Pichwit przyszedł na herbatę, milkliwy i dostojny, jak zwykle. Kiedy Karola wstała i wyszła do drugiego pokoju, wydać dyspozycje Jakobowi, spojrzenie Wenera pobiegło za nią, i wtem... wtem wykrył ów rys obcy, nowy. Wyprostowana, chodziła zazwyczaj rytmicznie, nader powściągliwa w ruchach, dziś korpus jej leciutko się kołysał, ramiona zwisały swobodnie, poruszały się miękko, jakby ze znużeniem, co wyglądało beztrosko, niemal lekkomyślnie. To właśnie było to!

Przypominało ruch ciała, które na polance leśnej tuliło się do piersi Rasta.

Werner odwrócił głowę, nie mógł znieść tego widoku. Tu spojrzenie jego padło na Pichwita. Jego orzechowe, wilgotne oczy także szły za Karolą. Gorzkie, zbyt małe usta zacisnęły się tak mocno, że wargi zbiełały. Więc i jego bolał ów widok.

Kiedy Pichwit mówił dobranoc, Karola wyciągnęła do niego rękę. Pichwit, nieco zdziwiony, ujął ją i pocałował. - Mój wierny, mały paż - rzekła Karola. Pichwit zaczerwienił się, twarz mu zadrgała, jak gdyby miał się rozpłakać. Odwrócił się szybko i wyszedł. Podczas gdy Werland drzemał, Karola rzekła: - Pastorze, prawda, że będzie pan częściej przychodził, on pana potrzebuje. - Z pewnością, pani baronowo - odparł oficjalnie Werner. - Ale skoro ma panią, kogóż by jeszcze potrzebował? - Owszem, potrzebuje pana - powtórzyła Karola. - Pan ma w sobie tyle mocnego życia, on musi to mieć: dużo zużywa. - Kto? - Ten, w którym życie zaczyna... zaczyna wysychać... - Tak - odparł Werner, by coś na to odpowiedzieć

- nasze życie jest nam dane dla innych. Karola spojrzała i ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami. - Dziwny świat - rzekła jakby do siebie - ci, którzy mogą żyć, mają oddać życie tym, którzy nie mogą żyć. Werner milczał. Słowa jej zabrzmiały mu twardo, i zobaczył z nieznośną wyrazistością twarz Rasta, jak ten pokazywał w układowym uśmiechu swe białe zęby. "Dla takiego ona chce żyć" - pomyślał. Wszystko to sprawiło, że poczuł się nieszczęśliwy. Wstał i chciał odejść. Karola odprowadziła go, jak zazwyczaj, do sieni. - Prawda, że będzie pan przychodził - powiedziała, po czym osobliwie dziecinnym ruchem pogłaskała jego rękaw. - Pan jest dobry. Wenera rozgniewało, że ten zwyczajny gest poruszył go tak głęboko. "Och, tej jest łatwo z nami!" - pomyślał z rozgoryczeniem. Werner siedział przed południem przy swoim biurku, a przed nim stała Kathe, córka parobka, i gorzko płakała. Werner nałożył swą srogą maskę pastora. Zawsze ta stara historia! Dopóty się lata za chłopakiem, aż się bieda przydarzy, a potem łzy i lamenty. Co, Simon jest ojcem? A o żeniaczce nie wspomina? No, trzeba będzie z nim pogadać! Ale jak się też te dziewczęta prowadzą. Zasłużyły sobie na nieszczęście, które je spotyka. Co za rozpustne towarzystwo! Kathe szlochała: - Ach, panie pastorze, tak się zdarza. Człowiek się trzyma, póki może. To było przy sianokosach. On kosił, a ja grabiłam. I wieczór był taki ciepły. - Trochę rozrzuconego siana i ciepły wieczór - gromił Werner - i to wystarczy, żebyście traciły głowę! - Tak! - biadała Kathe - to grzech! Ale kto to by tam zaraz myślał o takim nieszczęściu. Przychodzi samo, człowiek ani wie, jak! - No, dobrze. Ja już pomówię z Simonem - zakończył rozmowę Werner. - Płacz i lamenty nic nie pomogą. Idź już. Wyjaśni się ta sprawa. Kathe odeszła. Werner rozmyślał. Tak! Życie wyznacza nieproporcjonalnie wysokie ceny za każde małe dobre mgnienie. Ciepły wieczór! Objęli się, padli w świeży potraw, a potem łzy i smutne, brzydkie sprawy. Drzwi gwałtownie się rozwarły i do pokoju wpadł Karl Pichwit. Bez tchu zatrzymał się w progu. - Panie Pichwit! - rzekł Werner. - Jak

pan wygląda? Bez płaszcza pan przybiegł? Pichwit stał jeszcze znieruchomiąły, wargi miał sine z zimna. Oczy, dziwnie nieobecne, utkwiał przed siebie, jakby rozwarte w zdumieniu. - Tak, panie pastarze - powiedział cicho. - To podejdźże, człowieku, do pieca! - zawołał Werner. - I siadaj! Pichwit posłusznie podszedł do pieca i usiadł. Werner czekał. Nie śmiał pytać. Pichwit powiedział wreszcie cicho i płaczkliwie: - Odeszła... z nim, całkiem odeszła. Podniósł głowę i bezradnie patrzył na Wenera. Ten, odwróciwszy się, podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec. Czuł ziąb i dziwił się; nie wiedział, że można tak marznąć wewnątrz. Wtem usłyszał za sobą dźwięk: szlochanie. Odwrócił się. Pichwit, położywszy ramiona na stole, a głowę na ramionach, uległ niepohamowanemu, namiętному dziecinnemu wybuchowi płaczu! Werner zbliżył się i łagodnie głaskał go dłonią po włosach. Nie mówił nic, nie przeszkadzał. Temu to dobrze! Kto może tak jawnie rzucić ramiona i głowę na stół i rozbeczeć się! Usiadł i przyglądał się płaczącemu Pichwitowi. Ten podniósł wreszcie głowę. Twarz, zalana łzami, przybrała z przyzwyczajenia swój wyniosły uśmiech. - Są za granicą, Damkewitz powiedział to Jakobowi. Musiał po nią w nocy przyjechać - opowiadał. - O dziewiątej przyszedł list z dworca. Nie wiem, co w nim było. - A on? - spytał Werner. - Baron? - rzekł Pichwit. - Pił jak zawsze swoją herbatę, kiedy go widziałem, i udawał, że czyta gazetę. Później siedział w swoim fotelu, zamknąwszy oczy. Nie sądzę, żeby spał. Ale ja wiedziałem o tym... - Pan? - Tak, ja. Było to jednego z ostatnich wieczorów. Baron spał, a ona masowała mu nogę. Wtedy powiedziała do mnie, tak po cichu, wie pan: "Pichwit, jeżeli kiedyś nie będę tutaj siedziała, wtedy musi pan zająć moje miejsce." Widzi pan pastor, więc już wszystko wiedziałem, ale co mogłem zrobić? Powiedziała to do mnie szeptem, jakby chciała powierzyć mi tajemnicę. Od kilku nocy nie chodziłem już też do parku. Po co? I przypuszczałem, że nie byłaby rada, że ktoś stoi na dole i patrzy na wieżę. Ale pan, panie pastarze, mocno wierzyłem, że pan coś uczyni. -

Co mogę uczynić - odrzekł Werner. - Komu możemy jego los wyjąć z ręki? - Tak, może tak to jest - przyznał Pichwit. - Ale tak mocno liczyłem na pana. Ja, naturalnie, zostaję w Dumala; dała mi przecież to polecenie. "Na panu, drogi panie Pichwit, mogę polegać", powiedziała kiedyś. O, tak, na mnie może polegać. No, teraz już pójdę. Muszę tam być przed śniadaniem. - Proszę iść, panie Pichwit, daję panu swoje futro, i proszę milczeć! Gdy Werner wrócił na obiad, wieść o ucieczce Karoli dotarła już była do Leny. Baronowa Huhn zajechała na plebanię wyłącznie, aby zakomunikować nowinę i może coś usłyszeć. Lena bardzo się gorączkowała tym wypadkiem. Była oburzona. Czegoś podobnego mogła się po tej kobiecie spodziewać, ale to było niesłychane! Opuścić śmiertelnie chorego męża - i uciec z tym Rastem! Werner odsunął talerz i wstał od stołu. - Nie chcesz już jeść? - spytała Lena. - Nie - odpowiedział - ani jeść, ani słuchać! - Z tymi słowami wyszedł. Gdy Lena poszła za nim do bawialni, miała wypieki i zaczętnie wojowniczy wyraz, świadczący, że jest zdecydowana trochę się dzisiaj pokłócić. Chwilę krzątała się niecierpliwie po pokoju, po czym stanęła przed Wernerem i zaczęła mówić bardzo szybko i płynnie: - Bierzesz mi za złe, co powiedziałam. Przebaczać, to po chrześcijańsku. Tyle i ja wiem! Ale dlatego nie powinno się takiej kobiety uniewinniać! Tu nie ma usprawiedliwienia. Oczywiście: jestem oburzona. Każda przyzwoita kobieta musi być w takim wypadku oburzona! Byłoby mi wstyd przed tobą, i przed sobą samą, gdyby mnie to nie gorszyło! Przecież człowiek musi mieć poczucie godności swojego stanu, a taka kobieta przynosi ujmę stanowi chrześcijańskich niewiast, i dlatego mogę powiedzieć, że gardzę tą kobietą, pomimo że jestem sobie tylko zwykłą żoną pastora, a ona - wielką baronową z Dumala! - zatrzymała się, by nabrać tchu i popatrzyła na męża, oczekując odważnie wybuchu gniewu - grzmiącego "Lena!" Ale on milczał, a gdy się odezwał, głos miał łagodny i znużony: - Ach, dziecko! Cóż my wiemy, co rozumiemy z tego, co się w innych dzieje? Jakże możemy wyrokować? Ty i ja żyjemy blisko

siebie. A co o sobie wiemy? Co możemy dla siebie wzajemnie uczynić? Niczym pakiety w wagonie towarowym stoją ludzie, jeden przy drugim. Każdy dobrze zapakowany, zabezpieczony, z adresem. Nikt nie wie, co jest w sąsiednim. Jedzie się razem przez jakiś odcinek drogi: i to wszystko, co wiemy. Lena się przeraziła. Werner był blady, a na twarzy jego malowało się prawdziwe cierpienie. Poczuli dla niego litość. Podeszła, położyła mu rękę na ramieniu. - Czyś ty chory, Erwinie? - zapytała. - Ja? Nie. Dlaczego? - Nie jadłeś obiadu. - Zamyśliła się. Już wiedziała! - Słuchaj, Erwinie, a może bym ci zrobiła bardzo mocny i bardzo słodki grog? Werner uśmiechnął się. - Tak, Leno, zrób mi bardzo mocny, bardzo słodki grog! To przynajmniej coś, co jeden człowiek może jeszcze dla drugiego uczynić. Werner kilkakrotnie dowiadywał się, co w Dumala, ale otrzymywał odpowiedź, że baron jest cierpiący i nie przyjmuje. - Złośliwy atak - mówił doktor Braun. - No, nic dziwnego: sam mógłbym od czegoś podobnego dostać ataku. Pewnego popołudnia Werland przysłał na plebanię, z prośbą do pastora, by ten jednak do niego przyszedł. Werner zastał barona na jego zwykłym miejscu przy kominku, ufryzowanego i uperfumowanego. - Ach, nasz duszpasterz! - powitał pastora swoim zwykłym okrzykiem. Na niskim stołeczku u nóg barona siedział Pichwit i masował mu bolącą nogę. - Tak - rzekł Werland - Pichwit robi to całkiem dobrze; ma lekką rękę. Poeci zawsze mają lekkie ręce. Mówiono o mrozie, który nadszedł wreszcie i to od razu bardzo ostry. Od dawna nie widziano tak długich sopli na dachu. Baron opowiadał o soplach dawnych lat. Trzeba pilnie dokarmiać sarny. Zające czynią rozpaczliwe wysiłki, aby osiągnąć wierzchołków młodych drzewek. Niekiedy słychać było, jak na dworze spada z dachu sople i rozpryskuje się na ziemi. Brzmiało to, jakby się stłukła duża szklanka. Werland się wzdrygnął. - Już po nim - zauważył. - I po co się tak starał być taki długi? Jakie to głupie! - Pichwit - podjął po chwili - niech pan idzie spojrzeć na barometr. Zawołam pana. Pichwit wyszedł. - Dobry chłopiec - zauważył Werland,

patrząc za nim. - Bałem się, że bardzo cierpi z miłości, ale, jak się zdaje, ból łagodnieje. Chciałem powiedzieć panu, pastorze, iż otrzymałem wiadomość, nieważne jaką drogą. Są we Florencji. Dobrze: tedy napisałem list. Nie chcę wysyłać go stąd na pocztę, ani go sam adresować. Oto ten list, proszę, niech go pan zaadresuje i nada. - Oczywiście, chętnie! - rzekł Werner i wziął list. - Mogę też powiedzieć panu - ciągnął Werland - co napisałem. Może to pana zdziwi. Piszę do niej: Możesz każdej chwili powrócić. Nic się nie zmieniło, testament też nie. Co? Tego pan nie oczekiwał? To jest nowe? - Werland popatrzył na pastora z triumfem. - Tak się zazwyczaj nie postępuje. Ale, widzi pan, ja się czuję zwolniony od prawideł ogółu: innych, którzy mają nogi. A ja nie mam nóg: człowiek bez nóg, moje się nie liczą; ludzki kikucik, czemuż bym się miał trzymać prawideł ludzi całych? Mam swój własny kodeks. Chcę, żeby ona znów tu siedziała. I ona przyjedzie. Rast jest jak samogon: kobiety szybko się upijają - i szybko nadchodzi katzenjammer. Ona wróci. Werland przerwał, zapatrzył się w ogień, patrzył ostro, w napięciu, jakby oglądał tam obraz. - Przyjedzie - mówił do siebie - wejdzie. Żadnych "przebac mi", "przebaczam ci", nic dramatycznego. "Dzień dobry, dziecko. Miałaś dobrą podróż?" - żadnych nietaktownych rozmów. - I znów siądzie tutaj, będzie mi rozcierała nogę, będzie nalewała herbatę, krzątała się tutaj, jak przedtem. Ona przyjedzie. Więc ten list. Werner skłonił się milcząc. Od tej chwili nie było więcej mowy o Karoli. Werner bywał teraz często w Dumala. Trzej mężczyźni siedzieli razem. Werland spał dużo albo rozmawiali o mrozie i sarnach. Pichwit masował nogę barona. Albo słuchali w milczeniu, jak myszy pracują za boazerią. Tylko gdy za oknem budził się jakiś dźwięk, Werland otwierał oczy i nasłuchiwał. I Pichwit przerywał masowanie - i nasłuchiwał. - Czy ktoś jedzie? - pytał Werland. - Nie, nie, to nic - odpowiadał Werner. I znów rozpościerała się nad domem senna cisza. Czasem Werner lub Pichwit wstawał, by zrobić parę kroków, rozprostować zeszywniałe od siedzenia nogi, podchodził do

okna, wyglądał, patrzył w długą topolową aleję. Topole stały w jasnym księżycowym świetle niby wielkie, białe, kryształowe piramidy. - Co pan tam widzi? - pytał Werland. - Ach, nic, nic nie widzę - brzmiała odpowiedź. -

Przeziębienie - mówił doktor Braun - trochę zaatakowane płuco. Może niegroźne. Ale ta gorączka. Oby tylko serce wytrzymało. Niech pan tam zajrzy do niego

pastorze, Pichwit pielęgnuje go, niczym małżonka, powiadam panu, no, ale bądź co bądź melancholijna to małżonka. Baron Werland był chory. Werner zastał go w wielkim łożu, niemal niknącego pod mnóstwem poduszek. Połyskliwe niebieskie oczy zdawały się jedynym żywym punktem. Złe i podniecone czuwały pośród wszystkiej tej bieli. - Pastorze - powiedział, gdy Werner usiadł przy łóżku - jestem wściekły! Ten kaszel to całkiem bezsensowne zajęcie. Pan powie, naturalnie, że nawet kaszel to mądre urządzenie, bo trzeba flegmę wyrzucić z płuc. Dobrze! Ale po co w płucach jest flegma? To pan nazywa Opatrznością? Nie wyobrażam sobie, żebym - gdybym był Stwórcą - zajmował sobie czas wymyślaniem podobnie dziwacznych kombinacji! - Może to ma nas uczyć cierpliwości - rzekł Werner.

Werland roześmiał się gorzko. - No, a kiedy się tego szczęśliwie nauczę, opanuję ową cierpliwość! Stanę się czymś w rodzaju świętego, co wtedy? Będąc chłopcem miałem nauczycielkę fortepianu, pannę Mier, zacną starszą osobę: kazała mi przez cały rok ćwiczyć kawałki, wprawki jako niespodziankę na urodziny rodziców. No i kiedy wreszcie nadeszły te urodziny, nie było już mowy o popisach: żywa dusza nie chciała ich słuchać. To samo jest z pańskim zaprawianiem się w cnotcie.

Człowiek ćwiczy się, ćwiczy - dla kogo? Zakaszał, oparł znów głowę o poduszki i zamknął oczy. - Pastorze - powiedział z wysiłkiem - niech pan do niej napisze... myślę, że przyjedzie, niech pan napisze... że czekam. - Dobrze. Napiszę z pewnością! - przyrzekł Werner. Werland leżał przez chwilę z zamkniętymi oczami.

Nagle zaczął mówić, i to tak, jakby ciągnął przerwany wątek. - A prócz tego, widzi pan, to jest także argument przeciw tej waszej nieśmiertelności. Skoro to

taka wielka sprawa, a mówi pan przecież, że życie pośmiertne to rzecz główna, no to musiałby człowiek przecież, w miarę jak się do tego zbliża, mieć jakieś takie uczucie... "oto nadchodzi", że coś nas czeka. Przed pojedynkiem, przed jakimś ren_dez_vous, przed moim ślubem, tak, nawet w wigilię polowania miałem to: teraz - ani śladu. Lampa jest przykręcana, coraz niżej, a potem ciemność. Wszystko to wygląda bardziej na koniec niż na początek. Mówił szybko i płynnie, jak ludzie w malignie. - Tak - zakończył z westchnieniem - nie chcę nic twierdzić, nie jestem, nie czuję się teraz specjalnie nastawiony na wieczność. - Ach, wieczność - rzekł Werner - już ta wleje do lampy całkiem inaczej jaśniejący olej! -

Możliwie - zauważył Werland. Gdy zaczęło się zmierzchać, chory stał się niespokojny i zażądał, by go przenieść do pokoju z kominkiem. Chciał siedzieć w swoim fotelu zupełnie tak samo, jak zwykle, i żeby Pichwit masował mu nogę. - Tak, tak - mówił - tylko bez żadnych innowacji! Ale nie znajdował prawdziwego spokoju. - Pichwit - mówił raz po raz - proszę podejść do okna i wyrzeć na aleję. Nigdy nie wiadomo, kto może taką aleją nadjechać. No? - Nic nie widzę - meldował Pichwit. - Pan nigdy nic nie widzi - mruczał gniewnie Werland. Tak tedy siedzieli znowu, czekając; ale nie tylko na owe sanie, mające tą aleję nadjechać, lecz i na coś innego, czego się poważnie, w skupionym napięciu spodziewali. - Miał przyjść doktor - zauważył baron. - Tak, o dziesiątej - odparł Pichwit. - Dobry człowiek z tego doktora - ciągnął Werland - ale on chyba tyleż wie o tym, co się dzieje na księżycu, jak o tym, co się dzieje w moim ciele. No, wszystko jedno! - Potem roześmiał się głośno i serdecznie. - Myślę o kochanych krewnych. Szef rodziny: sekretarz stanu, jego córka - hrabina z mnóstwem dzieci i bez pieniędzy, i gruba ciotka Sophie z bliźniętami, i inni, jakie też zrobią oczy, gdy im odczytają testament. Widzę już kuzyna ekszelencję, jak mu nos zbiegał od tradycyjnej moralności! Hi, hi! Można by sobie życzyć takiej godzinki życia po śmierci tylko po to, żeby to zobaczyć! Długo nie mógł

się uspokoić, wciąż zaczynał na nowo śmiać się na tę myśl. Kiedy Jakob przyniósł herbatę, Werland spojrział surowo i powiedział. - Jakob, dziś mnie nie ufryzowałeś! - Nie, panie baronie! - odparł Jakob - dziś nie ufryzowaliśmy się... Pan baron czuli się zmęczeni, więc myślałem... Baron lekceważąco potrząsnął głową: - Nie lubię, kiedy służba myśli! Kiedy jestem nie ufryzowany, brak mi czegoś... w postawie. Więc uzupełnimy to. Mógłby ktoś jeszcze przybyć, i już wobec panów jest niegrzecznością, kiedy tak tu siedzę. - Mógłby pan zrobić dziś wyjątek - perswadował Werner - to pana zmęczy, a ostatecznie... Ale Werland mu przerwał: - Drogi pastorze, niektórzy mają przez cały dzień uczucie nieładu wewnętrznego, jeżeli rano nie odprawili nabożeństwa. Tak słyszałem. A ja mam uczucie wewnętrznego nieładu, kiedy nie jestem ufryzowany. To indywidualne. Więc, Jakob, do diabła! Panowie wybaczą, że zrobimy to przy nich. Jakob przyniósł lustro i ustawił je przed chorym. Po obu stronach zapalono świeczkę, i Jakob zaczął fryzować, umył głowę płynem do włosów, korbówkami ostrożnie przypiekał loczki. Werland baczenie wpatrywał się w lustro, śledził tę czynność, studiował widmowo bladą twarz, wycierającą ku niemu z lustra. Nikt nie mówił słowa. Nagle baron odchylił się w tył, jął dyszeć płytko i szybko: - Ja nie... wiem - wymówił z wysiłkiem - czuję się tak... ja nic już nie widzę w lustrze. Po czym całkiem zapadł się w sobie. - On kona - powiedział Werner, pochylając się nad nim. - Jego ekscelencja prosi, by pan pastor przybył na obiad, trzeba niejedno omówić - zameldował Jakob na plebanii. - Ekscelencja? - Tak jest, ekscelencja - opowiadał Jakob - i pan hrabia, i pani hrabina z dziećmi, i pani baronowa z dziećmi, i panowie rotmistrze - wszyscy są. Co za życie teraz u nas. Boże wielki! Westchnienie przerwało poprawny ton starego sługi; głos mu drżał. - Dobrze, dobrze! Przyjdę - rzekł Werner - to minie, Jakob, jeszcze jeden dzień. - Tak, panie pastorze, człowiek robi co może - mówił płacząco Jakob. - Ale to niełatwe, szczególnie z dziećmi pani baronowej. Gdy Werner wszedł do

przedsiönka w Dumala, usłyszał wysokie, trochę wrzaskliwe głosy dziecięce i biegnące po pokojach kroki, jakiś rodzaj gry w berka, zapewne. Potem ostry, rozkazujący głos kobiety i głęboka cisza. W wielkim salonie powitała pastora hrabina Gleiss, córka sekretarza stanu. Długa i chuda w czarnej żałobnej sukni, miała obfite blond włosy, spiętrzone nad czołem, trójkątną twarz i cerę zepsutą przez liczne połogi. - Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, panie pastorze. Niechże pan siada! Była w pełni panią domu. - Zdziwił pana może ten hałas przed chwilą? Tak, takie są dzieci! Dzieciom jest trudno usiedzieć; wciąż siedzieć cicho, nieprawdaż? Muszą mieć bodaj trochę ruchu. Zwłaszcza Lola, moja trzecia - właściwie Melani; ta kiedy nie ma ruchu, zaraz jakieś kłopoty z żołądkiem. Ale naturalnie, nie należy zapominać, że drogie zwłoki znajdują się jeszcze wśród nas. Hrabina spoważniała, zasmucona. - Tak, nieboszczyk nie miał łatwego życia! Jeszcze na koniec to gorzkie doświadczenie. Wierzę święcie, że to złamało mu serce. Znów rozległy się swawolne głosy dziecięce i całe stadko wtargnęło do pokoju. - Cicho, dzieci! Tak nie wolno! - zawołała hrabina. - Mademoiselle - zwróciła się do panienki o ślicznej twarzyczce małego ulicznika pod szopą rudych włosów - proszę się zastanowić: "c'est une maison mortuaire!" Podejdźcie, podajcie rączki! Trzy jasnowłose małe dziewczynki i dwaj jasnowłosi chłopcy podeszli i podali ręce Wernerowi. Wszyscy mieli rozgrzane policzki, zwichrzone głowy i nieodpartą chęć do śmiechu. - A to mademoiselle Pin - przedstawiła hrabina rudą dziewczynę. - No, idźcie i sprawujcie się grzecznie. Pomyślcie, biedny zmarły wujek leży tam obok. Gromadka wybiegła pędem. - Oto dzieci właśnie! - rzekła hrabina, patrząc za nimi z rozrzewnieniem. Wszedł eksceleñcja, mały, o białej, mysiej twarzy, jego piękne srebrzyste włosy kręciły się nad uszami na kształt małych obwarzanków. Eksceleñcja był ceremonialny i uroczysty. - Miło mi, panie pastorze, chociaż powód naszego spotkania jest smutny. - Pozostawiam panów ich sprawom! - rzekła hrabina i zniknęła. - Tak, sprawy -

rzekł ekscelencja - właściwie sprawami nie można tego nazwać. Idzie tu raczej o... jakże powiedzieć... - ekscelencja wsadził monokl w lewe oko, aby ożywić myślenie - pastorze, najbliżej obcował ze zmarłym, który, oczywiście, darzył pana zaufaniem. Może jest panu wiadomo coś o jego ostatnich rozporządzeniach, czy też raczej o przedsięwziętych ostatnio zmianach w tych rozporządzeniach? Werner wzruszył lekko ramionami. - O żadnej zmianie nie jest mi wiadomo, ekscelencjo. - Tak? - ekscelencja wyjął monokl z oka i stał się bardziej poufały. Położył dłoń na ramieniu Wenera. - Bo widzi pan, panie pastorze, idzie o to mianowicie: zmarły, jako ostatni z linii na Dumala, ma prawo, co nie jest zresztą trafnym postanowieniem, pozostawić swej wdowie dożywotnio całość dóbr do użytkowania. "Bon!" po godnych ubolewania wydarzeniach w tym małżeństwie, trudno przypuszczać, by mój zmarły kuzyn popełnić miał nieostrożność i nie zmienił niektórych punktów swego testamentu. Bo proszę tylko pomyśleć, panie pastorze, również dla pana, dla całej okolicy, cóż za skandal: ta dama jako pani na Dumala! Werner zrobił ruch wyrażający bezradność: - Ekscelencjo, jako się rzekło, nic nie zauważyłem; mieszanie się w te sprawy nie należy też do mego urzędu. - Owszem, owszem - rzekł ekscelencja upominająco. - Nasze sfery, powtarzam: nasze, stoją jeszcze, na szczęście, na tym stanowisku, iż pastor może we wszystkich sprawach głos zabierać. - Żałuję - powtórzył Werner - mogę tyle tylko powiedzieć, że w ostatnim czasie nie dokonywano żadnych zmian w testamencie! Ekscelencja uznał to za nader niepomyślne. Kiedy wszedł jego zięć, hrabia Gleiss, jasnowłosy, jakby wcale włosów nie miał, o cerze dziewczęcej i długich, złotych bokobrodach, teść zawołał do niego: - Pastor nie wie o żadnej zmianie testamentu! Hrabia z namysłem pogładził swój złoty zarost. - Szkoda - powiedział - wuj nieboszczyk lubił się zawsze trochę podroczyć. - Droczyć? - zaprotestował ekscelencja. Poważne sprawy rodzinne nie mogą być przedmiotem przekomarzań! Zmarły wiedział z pewnością, co jest winien nazwisku Werlandów.

Jesteśmy gotowi być bardzo "large" w stosunku do wspomnianej damy, ale Dumala, Dumala musi pozostać czyste! - Powinno by - powiedział hrabia. - Musi! - powtórzył ekscelencja. Poszli jeść. W sali stołowej nakryty był bardzo długi stół i ze wszystkich drzwi wysypywali się Werlandowie. U góry stołu siedziała baronowa Sophie z Pehwicken. Miała złą przemianę materii i zajmowała całą szerokość stołu. Rotmistrz Emmerich z Basserowschen, dosyć źle wychowany, nazywał ją "ciotki Sophie", bo na jedną ciotkę było jej za dużo. Dalej dzieci hrabiego, bliźnięta ciotki Sophie, grube szesnastoletnie dziewczyny, których jasne warkocze zwieszały się na plecach, dwaj rotmistrze dragonów, wreszcie mademoiselle Pin. Wszystko to żwawo rozmieszczało się po sali. Dzieci kłóciły się o miejsca. Rotmistrz Emmerich oglądał etykiety na butelkach win, jakby był w hotelu. Ekscelencja u góry stołu kierował rozmową. Mówił o sytuacji ekonomicznej tych okolic. Las należy lepiej spieniężyć. - Ja bym zburzyła stare skrzydło - mówiła baronowa Sophie. Ekscelencja sądził, że pewne wspomnienia historyczne należałoby raczej uszanować. - Boże! - wtrącił hrabia. - Wspomnienia historyczne są przeważnie kompromitujące. - I nieprzyzwoite! - dodała baronowa Sophie. - Jeden z Werlandów padł pod Zorndorf, to także wspomnienie historyczne - rzekł ekscelencja surowo. Kiedy wniesiono stare wino reńskie, ekscelecja zadzwonił w szklankę i zrobił smutną, uroczystą minę. - Myślę, że wypijemy milczący toast, by uczcić pamięć naszego zmarłego kuzyna. W głębokiej ciszy wszyscy podnieśli do ust szklanki, tylko jedna z bliźniaczek, walcząc z chęcią do śmiechu, zakrztusiła się. Rotmistrz Emmerich chciał ją klepnąć w plecy, na co się nie zgodziła. Tedy wybuchła kłótnia. - Prosiłbym jednak o chwilę spokoju - powiedział smutnie ekscelencja. Wtem z końca stołu rozległ się głos dziecięcy, wołając głośno, na cały pokój: - Mojej drogiej Karoli. Była to Lola, trzymająca w ręku srebrne kółko do serwetki; triumfalnie odczytywała z niego to zdanie. - "Quittez la table!" - powiedziała hrabina. Ekscelencja pokręcił głową: - Że też

daje się dzieciom do rąk takie przedmioty! Po kolacji siedzieli wszyscy w salonie, rozmawiając o zamierzonej koniecznej przebudowie zamku. Obok młodzież bawiła się w gry towarzyskie, i głośnie śmiechy napełniały pokoje w Dumala. Wtem Lola wsunęła głowę przez drzwi i zameldowała głośno: - Właśnie kuzyn Emmerich pocałował mademoiselle! - To dziecko jest niemożliwe! - rzekł ekscelecja. Hrabina, zaczerwieniwszy się, zauważyła, że w tym przypadku chyba nie dziecko jest niemożliwe. - Dlaczego one nie idą spać? - spytała baronowa Sophie. - Bo się boją przejść koło drzwi, za którymi leży umarły - brzmiała odpowiedź. - Pewnie chce pan zobaczyć naszego zmarłego, panie pastorze? - zapytał ekscelecja. Poszli do pokoju z kominkiem, gdzie leżał na katafalku baron. W sionce przy małym stoliku siedziały przytulone do siebie bliźniaczki, pisząc w swoich pamiętniczkach, aby całkiem na świeżo uchwycić wrażenie tych zdarzeń. Werland leżał w trumnie, oświetlonej jaskrawo przez wysokie, woskowe gromnice, smukły i prosty w swym wizytowym garniturze, z gardenią w butonierze. Twarz wydawała się zmniejszona, jakby ściągnięta, dokoła oczu mnóstwo drobnych zmarszczek, nadających wyraz niemal filuterny. Ekscelecja pochylił głowę w modlitwie. - Jak on spokojnie spoczywa - szepnęła baronowa. Kwiaty sprowadziliśmy z Berlina. Chwilę stali, spoglądając na zmarłego, który nader poprawnie leżał przed nimi, wyglądając swą drobną, złośliwą twarzą spośród masy południowych wiosennych kwiatów. Następnie wyszli. W sieni stała Lola, płacząc. Aby wykupić swój fant, miała podejść do drzwi pokoju zmarłego i dygnąć: a teraz bała się i nie chciała. Hrabina westchnęła: - Niełatwo z dziećmi! niepodobna zmusić je, aby poszły spać. Wszystkie boją się umarłego! Werner zaczął się żegnać. W sieni natknął się na rotmistrza Emmericha i mademoiselle Pin, którzy stali zapewne bardzo blisko siebie, bo teraz rozbiegli się przestraszeni. Gdy Werner wyszedł w jasną zimową noc, znalazł przed zamkiem stojącego tam Karła Pichwita, który z głową przechyloną na ramię wpatrywał się w twarz księżycy. -

Panie pastarze - odezwał się - czekałem tu na pana. Jakob powiedział mi, że pan tu jest. Nie chcę schodzić tam, do ludzi. Jutro odjeżdżam. Cóż mam tu robić? Pogrzeb? O, Boże, pogrzeb nie ma przecież znaczenia. A ona, jeżeli przyjedzie, to wszystko jest już i tak zupełnie inaczej. W ogóle wszystko wychodzi zupełnie inaczej, niż się myśli. Sądziłem, że coś się zdarzy, ja... ja bym może coś zrobił. Ale nie, tylko odjeżdżam - tylko tyle... Werner położył mu rękę na ramieniu i rzekł: - Tak, Pichwit, niech pan jedzie. Pan jest młody. Nie należy zwlekać: trzeba odwrócić stronicę, kiedy wydaje się skończona. A w pańskiej księdze może być jeszcze tak dużo! Sporo dobrego, mam nadzieję, i tego panu życzę! - Dzięki, panie pastarze - odparł Pichwit. - Pójdę jeszcze na chwilę do barona. Dziwne: wciąż mam uczucie, że on czeka na mnie, abym mu pomasaował nogę... Bądź pan zdrow, panie pastarze! - Bądź zdrow, Pichwit. W jasnym blasku słońca, przez biały, skrzypiący teren, strażnicy leśni w Dumala zanieśli barona Werlanda na mały cmentarzyk, do jego rodzinnego grobowca. Otuleni w szale i futra szli za trumną krewniacy: czarna, cicha gromada, podczas gdy chłopstwo gromadziło się dokoła cmentarza, niezmiernie kolorowe w odświętnych strojach na tle jaskrawo oświetlonego śniegu. Werner stał nad grobem, przemawiając. Cóż miał im mówić o tym życiu, które samo i dla siebie, i dla innych tak było niepojęte? Mówił zatem z pradawną znane słowa, których przez wieki Kościół nagromadził cały piękny skarb. Przy dobrych, chłodnych ogólnikach mały, dobrze ufryzowany pan zamurowany został w krypcie swego rodzinnego grobowca. Słońce jasno świeciło na tłum, jaki zebrał się na zewnątrz cmentarnych murów, barwne chusty jaśniały wesoło, promienie odbijały się w łysinach starców. Brał mróz. Ekscelecja, stojący tuż u grobu, raz po raz zmieniał nogę i schował całkiem nos w jedwabnym szalu. Hrabina okrywała jednemu czy drugiemu z dzieci barki chustką. Wszyscy czekali niecierpliwie końca uroczystości. Nagle Werner dostrzegł jakiś niepokój w tłumie. Ludzie się oglądali. Żałobnicy przy trumnie rozstępowali się

płochliwie. Szeptano. Hrabina spojrzała na ojca i smutno potrząsnęła głową.

Skinieniami przywołała dzieci do siebie. Przed trumną stała Karola. Powoli zeszła dróżką między mogiłami aż do grobowca. Oto stała teraz, spowita w czarne welony, smukła i wyprostowana. Głos Wenera zaciął się na mgnienie, teraz spiesznie kończył mowę. Karola trwała w bezruchu, także gdy grób zamknięto.

Wszystko cisnęło się do wyjścia. Ekscelecja podał Wenerowi rękę. - Dziękuję panu, pastorze. Niestychany wypadek, co? - z tymi słowy odszedł szybko. Wokół Karoli, stojącej jeszcze nad grobem, zrobiło się pusto. Wener podszedł do niej.

- On by się cieszył, że pani przybyła, pani baronowo! - powiedział. Karola odrzuciła welon. Była blada, lecz poza tym, jak się wydawało Wenerowi, zupełnie nie zmieniona. Podała mu rękę swoim zwykłym, koleżeńskim gestem. - Czy on czekał? - spytała. - Tak. On czekał. - Czy pod koniec cierpiał? - Nie. Nie sądzę. Szli teraz koło siebie ścieżką wśród grobów. - Teraz zostanę tutaj - mówiła Karola. - Chyba sobie tego życzył. - Na pewno życzyłby sobie tego! - potwierdził Wener. - "Où sont les enfants?" - rozległ się ostry głos hrabiny.

- Chodźże wreszcie! Czego stoisz?! Lola stała na drodze, wpatrując się w Karolę.

Hrabina podbiegła, chwyciła dziecko, jak kokoszka, która widzi w niebezpieczeństwie swe kurczęta. - Widzi pan - uśmiechnęła się Karola - nie ma niebezpieczeństwa, abym spotkała dużo ludzi na swojej drodze. Znów pochłonęła mnie samotność. Tak było zawsze: próbowałam się niekiedy przed nią bronić, ale mnie zawsze dopada. Ostatecznie będę się musiała z nią oswoić. Może to jest coś takiego, co się nazywa pokutą. Spojrzała na Wenera, a ten pomyślał: "Słowo pokuta nigdy jeszcze chyba nie było wymawiane z takim uśmiechem!" - Czy mogę być pani w czymś pomocny, pani baronowo? - zapytał. Karola z namysłem patrzyła w słońce. - Dziękuję. Nie wiem. Być samotną to chyba moje przeznaczenie. Widocznie brak mi talentu do wspólnego marszu. Albo przyczyniam komuś bólu, albo zadają mi ból. Może tak być nie musi. Podała mu rękę. - "Audieu", panie pastorze. -

Spoglądała w dół, na drogę, po której czarna gromada krewnych spieszyła ku zamkowi. Uśmiechnęła się. - Ależ suną! Być nienawidzoną to dla mnie coś zupełnie nowego! Następnie poszła ku wyjściu. Jej welony powiewały wśród białych grobów. Było to w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Werner musiał zaraz po mszy jechać na daleki leśny cmentarz. Kathe, córka parobka, zmarła skutkiem poronienia. Zapłaciła najwyższą cenę za koszenie w ów gorący wieczór z owym Simonem. Ciężkie popołudniowe światło ścieliło się już nad białym, szklistym światem, kiedy wracał do domu. Musiał przejechać tuż koło zamku Dumala. Na wysokich zewnętrznych schodach, pod szarym portalem stała Karola - cicha, czarna postać. Oślaniała oczy ręką, patrząc w aleję. Werner pozdrowił ją ręką, odpowiedziała mu skinieniem. Pojechał dalej. Oglądając się widział jeszcze czarną postać pod szarym portalem, oświetloną popołudniowym słońcem. "Dziwne! - myślał - człowiek sądzi, że jest z kimś mocno, do bólu związany, że jest mu najbliższy, a potem każdy rusza w swoją drogę i nie wie, co zaszło w drugim. Co najwyżej pozdrawia tego drugiego z głębi swej samotności!"

Postowie Wysoko go sobie cenił Thomas Mann, współcześni porównywali jego twórczość do dokonań Iwana Turgieniewa, Theodora Fontanego bądź Arthura Schnitzlera, najczęściej jednak wiązano jego nazwisko z impresjonistycznym pisarstwem Duńczyka Hermana Banga. Kim był w istocie ten prawie już dziś zapomniany prozaik niemiecki, twórca dekadencjonalnych opowieści z życia junkrów pruskich, zamieszkałych na północnych kresach dawnego cesarstwa, dlaczego zapomniano o nim tak nagle, choć przecież był wielce poczytny i ceniony za życia? Historie literatury niemieckiej nie dają w tym względzie satysfakcjonującej odpowiedzi. Nazywał się Eduard von Keyserling, żył w latach 1855_#1918, a wywodził się z hrabiowskiej rodziny właścicieli ziemskich zasiedziających od pokoleń w Kurlandii. Do dziś zachował się jego portret pędzla wybitnego malarza pruskiego Lovisa Corinthy, przedstawia on postać wychudzonego mężczyzny o nie całkiem szlachetnych rysach, z zadumą wpatzonego w coś, co

tylko dla niego jest widoczne i zrozumiałe. Taki był hrabia Keyserling w istocie, mówią świadkowie historii, tacy są również bohaterowie wielu jego powieści i opowiadań. Był człowiekiem wrażliwym i wykształconym, studiował prawo i historię sztuki w Dorpacie, wiedzę swą pogłębiał na uniwersytetach w Wiedniu i Grazu. Czas jakiś zarządzał swymi włościami, a potem osiedlił się w Monachium, gdzie pozostał już na stałe. Zainteresowany sztuką, szybko trafił do barwnych kręgów monachijskiej cyganerii artystycznej, pisywał dla tamtejszych pism literackich, był w bliskich kontaktach z Frankiem Wedekindem, Ludwigiem Thomą, Maxem Halbem i innymi naturalistami niemieckimi. Pod wpływem tego prądu powstały też jego wczesne powieści "Fräulein Rosa Herz" (1887), "Die dritte Stiege" (1892). Ale naturalistą Keyserling na pewno nie był, zbyt wiele było w nim nostalgii i zapatrzenia w ludzkie wnętrza, by realizować się pisarsko w płaskim dokumentaryzmie społecznym. Nieporozumieniem artystycznym były też jego próby dramatyczne, odwołujące się tematycznie do sielankowych obrazków z życia litewskich wieśniaków. W sztukach "Frühlingsopfer" (1900), "Der dumme Hans" (1901), a również w nieco późniejszych utworach scenicznych jak "Peter Havel" (1904) czy we wzorowanym na Ibsenie dramacie "Benignes Erlebnis" (1906), przeplatają się żywe sceny ludowe z lirycznym uniesieniem, całość nie tworzy jednak ani ideowo, ani artystycznie przekonującego wrażenia. Eduard von Keyserling był przede wszystkim wybitnym narratorem, mistrzem subtelного opisu, autorem bezbłędnie budującym świat uczuć. Jego opowieści, zrazu chłodne, niekiedy nawet ironiczne w swym dystansie do ludzkich ułomności, odtwarzały jednak nastrój dekadencjonalnej epoki, i to w realiach wziętych z autentycznego krajobrazu odległych tajemniczych prowincji, w których kultura niemiecka przeplatała się z wielowiekowym doświadczeniem narodów bałtyckich. Ten świat, który nam, współczesnym czytelnikom powieści Keyserlinga, jawi się niczym stary dagerotyp, sztywny w swej stylizacji, a jednak pełen ukrytych namiętności, był w

istocie jego światem, światem jego generacji i formacji społecznej. Keyserling jest kronikarzem upadku, lecz jest to upadek urzekający swym nastrojem i kulturą. Tematycznie są powieści Keyserlinga bardzo do siebie zbliżone, rozgrywają się w podobnych krajobrazach i realiach: należą do nich pałace, zadbane zazwyczaj parki i oficyny dla dworskiej służby, w oddali widać parafie, karczmy, wioski oraz lud stanowiący tło dla dramatów duszy, przeżywanych w zamkowych salonach. Personel tych kurlandzkich lub pruskich powieści to też stały układ społeczny, na szczycie lokują się arystokratyczni właściciele ziemscy, ich krewni i sąsiedzi, spotykający się na towarzyskich przyjęciach, polowaniach lub tradycyjnych herbatkach, otaczają ich preceptorzy, duchowni, lekarze, niekiedy artyści. Ale jest to świat zamknięty, o ustalonej hierarchii społecznej, o trwałych, zdawałoby się, zasadach i wartościach. Keyserlinga fascynuje jednak nie tyle trwałość tego układu, ile jego wewnętrzne zakłócenia, będące w istocie oznakami rozpadu, jeśli nie upadku w ogóle. Te zakłócenia w funkcjonowaniu systemu mają zazwyczaj charakter afer miłosnych, wiążą się ze zdradą, niekiedy sprzeniewierzeniem, przynajmniej wobec ogólnie przyjętych w tym środowisku zasad. Jest tak choćby w jednej z najpopularniejszych powieści Eduarda von Keyserlinga "Beate und Mareile" (1903). Ta "opowieść pałacowa", jak głosił podtytuł, osadzona w krajobrazie nadbałtyckim, ukazuje dramat ziemianina rozdartego uczuciem do wyniosłej arystokratycznej małżonki, Beaty, i pełnej artystycznego temperamentu Mareile, córki inspektora. Dramat uczuć jest też treścią wysoko cenionej powieści "Am S~udhang" (1916) z późnego okresu twórczości Keyserlinga. W tej nastrojowej książce namiętność przeplata się z rezygnacją, zaś niedobra miłość szlachecka, znaczone pojedynkiem i samobójczą śmiercią młodego nauczyciela, również nie kończy się spełnieniem. Czołowe powieści Keyserlinga, do których prócz wymienionych zaliczyć można "Wellen" (1911), "Abendliche H~auser" (1913), "Feiertagskinder" (1918), a również jego

nowele "Schw~ule Tage" (1904), "Bunte Herzen" (1908) bądź "F~urstinnen" (1917), są opisem chorego świata, jak twierdzi znany historyk literatury niemieckiej Albert Soergel, dodając, iż ich autora fascynuje etyka i estetyka upadku. Ta fascynacja wyraża się w analizie środowiska skazanego na zagładę przez dialektykę historii. Keyserling ten upadek antycypuje, jego utwory stawiają diagnozy, nie dając recept. Proces rozkładu formacji społecznej, jakże sugestywnie zarysowany w powieściach, rzutuje też na estetykę jego wypowiedzi. Impresjonistyczny styl, który tak zachwycał współczesnych pisarzy krytyków, bezbłędnie oddaje rytm wewnętrznego rozpadu wartości, po których ostała się jeno urzekająca fasada. Główne walory pisarstwa Eduarda von Keyserlinga znalazły swe odbicie w jego być może najlepszej, artystycznie rzecz biorąc, mikropowieści "Dumala". Ten powstały w 1908 roku utwór to z pozoru beznamiętny, rzec by można, ironicznie łagodny zapis zrazu niewidocznych objawów choroby, która doprowadziła w konsekwencji do upadku całej formacji społecznej. Dumala to nazwa dworu szlacheckiego w Kurlandii, który istnieje na tym terenie bardziej siłą tradycji niżli z racji swych społecznych funkcji. Czas stanął tu jakby w miejscu, a jego rytm wyznaczają jedynie zmiany na barometrze, skwapliwie sprawdzane przez mieszkańców pałacu Dumala. Na zewnątrz, bez względu na temperaturę akcji powieści, panuje zima, ten chłód konserwuje, ale również odgradza od siebie ludzi. Postacie opowieści, niezależnie od swej pozycji w dramacie, cierpią na chorobę samotności, każdy jest tu na swój sposób nieszczęśliwy, smutek który ich drąży, jest smutkiem egzystencjalnym, aż nazbyt wiele w nim tęsknoty do indywidualnego szczęścia. Wyobraźnię mieszkańców Dumali i tych, którzy z dworem tym związali swe utajone marzenia, nie kieruje bynajmniej świadomość, lecz nieuchronny los, prowadzący do pojedynczego nieszczęścia. Właściciel majątku, baron Werland, przykutą chorobą do inwalidzkiego fotela, uosabia minione wartości, przy których trwa, ale w które już nie wierzy. Jego ironiczny dystans

do otaczającej go rzeczywistości wywodzi się ze świadomości nieuchronnej klęski, której nie potrafi zapobiec. Także jego piękna, układna, lecz pełna skrywanych namiętności żona, Karola, skazana jest na życiowe niepowodzenie. Jej natura, skrępowana więzami środowiskowego konwenansu, staje się źródłem cierpienia dla jej zakochanych wielbicieli, a w konsekwencji i dla niej samej. Ci nieszczęśni wielbiciele to w równym stopniu jej mąż, baron Werland, jak i zakochany w niej młody sekretarz barona Karl Pichwit, czy wreszcie targany wewnętrznymi sprzecznościami pastor Erwin Werner. Baronowa z Dumali to jednak nie modliszka pożerająca swych adoratorów, lecz w istocie kobieta równie nieszczęśliwa jak oni. Jej romans z lekkomyślnym baronem Behrentem von Rastem, ziemianinem z sąsiedztwa, to próba wyłamania się z obłądnego kręgu niespełnienia, zdeterminowanego konwenansem. Z tego zaczarowanego kręgu samotności i nieszczęścia nie ma jednak wyjścia, zdaje się przekonywać swych czytelników hrabia Eduard von Keyserling. Dlatego też upokorzona Karola wraca do Dumali, by z rezygnacją dać świadectwo przywiązania do tradycji, podobnie jak to czynił zmarły ze zgrzyoty baron Werland. Nawet za cenę bezbrzeżnej samotności. Ten końcowy gest Karoli jest przypięczeniem losu klasy skazanej przez historię na odejście. Takie też jest główne przesłanie autora powieści "Dumala".

Kameralny dramat namiętności i rezygnacji, rozgrywający się w na poły romantycznej scenerii pałacu Dumala, jest jakby wyizolowany z kontekstu społecznego. Historia zdrady małżeńskiej, widziana z perspektywy niezupełnie obiektywnego obserwatora, jakim jest pastor Werner, to nie jest moralitet, jak sugerowała współczesna pisarzowi krytyka. Na moralitet brak tu wiary. O wiele bardziej liczy się natomiast artystycznie perfekcyjne uchwycenie nastroju, melancholia opisu, pochylenie się nad losem ludzkim w sytuacjach, które wymykają się jednoznacznym ocenom. Właśnie te walory czynią powieść "Dumala", a także inne książki Eduarda von Keyserlinga bliskimi utworom Turgieniewa, Banga i

Thomasa Manna. Dzisiejsze czasy sprzyjają lekturze takich utworów, choć dawno już nie ma Kurlandii. (Stefan H. Kaszyński)